

Prowokowanie wyobraźni. Leszek Wyczółkowski.



Leszek Wyczółkowski w pracowni, fot. Lynn Wyczółkowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pod koniec 2015 roku wyszedł album „Beyond Geometry. The Art of Leszek Wyczółkowski” wieńczący wiele lat Twojej pracy artystycznej. Pierwsza część pokazuje twórczość graficzną i malarską, a druga – to imponująca historia wystaw w Polsce i za granicą.

Leszek Wyczółkowski: Po latach pracy artystycznej na polu graficznym i malarskim, wielu prestiżowych wystawach w salach muzealnych i galeriach publicznych, przyszedł czas na swego rodzaju podsumowanie i reminiscencję. Jedną z form wyrażającą te osiągnięcia jest publikacja albumu.

Był to dla mnie bardzo pasjonujący temat, od koncepcji i projektu, aż do przygotowania do druku (zaowocowały doświadczenia wyniesione z kartografii). Nad projektem tym spędziłem prawie trzy lata. Zmieniała się zarówno forma projektu graficznego i merytorycznego, jak i wielkość publikacji.

W ostatecznej wersji przedstawiłem trzy główne tematy – malarstwo, grafikę i ekspozycje. Wszystkie działy są poprzedzone szeregiem małych zdjęć charakteryzujących dany rozdział i stanowiących jakby symboliczną zapowiedź następnych stronic. Autorką zdjęć jest moja żona Lynn, która od wielu lat dokumentuje moją działalność artystyczną. Żona brała też udział w projektowaniu i redagowaniu tego albumu. Pomocą służyła również moja córka Nadine, która napisała wstęp i zrobiła

korektę.

Kompozycja albumu dostarczyła mi wiele wyzwań i dała dużo satysfakcji. Staralem się, aby zachować płynność oglądania, element niespodzianki i poczucie niedosytu. Chciałem, żeby album nie był nudny.

Cieszę się z tego albumu, bo podsumował wiele lat mojej twórczości. Dał możliwość spojrzenia z dystansu na moją własną sztukę. I choć nie mogę na niego patrzeć bez emocji, to jednak stał się on punktem wyjścia do następnych poszukiwań i odkryć.

JSG: Jesteś grafikiem i malarzem, czy te dziedziny się dopełniają?

LW: Absolutnie tak. Podczas czasu spędzonego nad płótnem rodzą się często nowe pomysły graficzne. A gdy pracuję nad grafikami, doznaję inspiracji – bodźca do pracy malarskiej. Tak więc z nowymi siłami i pomysłami przenoszę się na inne, acz podobne środki wyrazu. One się uzupełniają i dają szansę pełniejszej wypowiedzi.

JSG: Twoje grafiki to świat harmonii, koloru i symetrii. Dominuje porządek, estetyka i piękno formy. Co cię fascynuje w geometrii przetworzonej przez Twoją wyobraźnię?

LW: Szczególnie w grafikach warsztat jest podstawą i podporą wyobraźni. Prawdopodobnie moje poprzednie związki z kartografią i geodezją, które oparte są na matematyce, geometrii i precyzji, mają wpływ na moje inklinacje ku geometrii. Szukam w niej balansu, porównań i harmonii. Zestawiam skrajnie odmienne formy i struktury, a wszystko pod kątem odmiennych perspektyw/skal. Jest to gra emocji i intelektu, która mnie bawi i dostarcza wiele radości.

JSG: Przerwałeś studia na Wydziale Grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i zdecydowałeś się na wyjazd z kraju. Czy dlatego, że utrudniano ci studia ze względu na nazwisko?

LW: Ironią losu można określić moje przerwane w połowie studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie i przyjazd do Kanady. Przecież na upragnioną ASP dostałem się dopiero za czwartym razem i to bez dodatkowych „punktów za pochodzenie”. A nazwisko, które mogło gwarantować sukces, nie tylko ekonomiczny, po studiach stało się przeszkodą wręcz nie do pokonania.

JSG: Opowiedz, jak rozwijała się Twoja kariera jako artysty w Kanadzie.

LW: Kanada zrobiła na mnie duże wrażenie, pod względem przyrody. Wielkie, czyste przestrzenie, piękne lasy, jeziora, góry i

wybrzeża. Reszta niestety do tej pory jest dla mnie, jako artysty, rozczarowaniem. Niemniej starałem się i nadal to czynię stawiać czoła niesprzyjającym warunkom.

Po przyjeździe kontynuowałem studia na Ontario College of Art. Miałem szczęście poznać wielu pomocnych i życzliwych ludzi. To dodawało mi otuchy, energii i zapału do rozwijania mojej twórczości. Dużo wystawiałem i wystawiam. Dużo również podróżowałem. Wielokrotnie przejechałem Kanadę i Stany Zjednoczone Ameryki.

Przez wiele lat byłem reprezentowany w Nowym Jorku i San Francisco przez bardzo prestiżową galerię. Miało to również pozytywny wpływ na moją sytuację na rynku kanadyjskim. Jednak krach finansowy 2008 roku niekorzystnie odbił się na rynku sztuki.

JSG: Po transformacji w Polsce w latach 90-tych miałeś pierwszą od wyjazdu z kraju wystawę i to w Muzeum Narodowym w Krakowie. Jak byłeś wtedy odebrany przez środowisko artystyczne?

LW: Wystawę tę wspominam bardzo mile. Muzeum Narodowe w Krakowie jest jednym z najbardziej prestiżowych Muzeów, cieszących się najwyższą reputacją. Byłem pierwszym z żyjących grafików, którego spotkał zaszczyt autorskiej wystawy.

Wystawa była licznie odwiedzana przez środowisko artystyczne. Na wernisaż przyjechało wielu przyjaciół i znajomych. Z Warszawy przyjechał mój były profesor historii sztuki z ASP, Maciej Gutowski. Podczas otwarcia wystawy udzielił on wspaniałego wywiadu do krakowskiej TVP na temat mojej twórczości graficznej. Przez lata utrzymywałem z nim miły kontakt. Każda moja podróż do Polski nie mogła obyć się bez spotkania, pokazu nowych prac, wymiany opinii i spostrzeżeń. Profesor Gutowski imponował mi wiedzą, intelektem i erudycją. Szkoda, że odszedł tak wcześnie.

JSG: Od tej pory masz regularny kontakt z Polską i wystawy w prestiżowych miejscach.

LW: Lubię wystawiać w Polsce. Jest to nie tylko pretekst do odwiedzin Ojczyzny, ale też okazja do prezentacji moich najnowszych prac. Poza tym jest dla kogo wystawiać. Sztuka w Polsce jest na wysokim poziomie i szczególnie starsza grupa społeczeństwa docenia jej wartości. Przez ostatnie lata miałem przyjemność i zaszczyt prezentować moje prace graficzne w wielu polskich muzeach i prestiżowych galeriach.

JSG: Twoje prace były pokazywane w Austrii, Belgii, Francji, Grecji, Holandii, Japonii, Kanadzie, Malezji, Stanach Zjednoczonych, Szwecji, Wielkiej Brytanii czy we Włoszech. Są w wielu znanych galeriach, muzeach i zbiorach prywatnych. Czy

myślisz, że wyjazd z Polski dał ci rozmach, świeży oddech, spojrzenie na polską historię kultury z perspektywy?

LW: Emigracja wyzwoliła ukrytą energię, zmusiła mnie do działań, których prawdopodobnie nigdy bym nie podjął. Emigracja stymuluje, umożliwia porównania i obserwacje z dystansu.

JSG: Jaki wpływ na Twoją twórczość ma polskie dziedzictwo artystyczne?

LW: Staram się nie „zapożyczać” od innych. Niemniej jednak wyrastałem na najlepszych wzorcach. Przecież dokonania artystów Młodej Polski to eksplozja wielkich talentów. Artystyczne wychowanie tkwi później w podświadomości. Czasy się zmieniły, formy przekazu również. Ale osiągnięcia i doświadczenia innych dają solidną bazę, fundament. Polska sztuka miała wiele silnych indywidualności, które stymulują i prowokują do podejmowania ryzyka w poszukiwaniu i odkrywaniu własnej drogi.

JSG: Razem z mieszkającym w Polsce bratem Zbigniewem, pasjonujecie się historią słynnego przodka, Leona Wyczółkowskiego. Szukacie śladów po nim, jeździcie na wystawy i do miejsc, gdzie malowane były słynne obrazy, jak np. do majątku, w którym odbywała się „Gra w krokieta”. Czy

odkryliście jakieś nieznane historykom sztuki fakty, lub ciekawostki?

LW: Często przez przypadek natrafiamy na miejsca związane z Leonem Wyczółkowskim. Kilka lat temu po mojej wystawie w Lublinie pojechaliśmy do dworku na drodze do Warszawy, gdzie Leon Wyczółkowski robił szkice i malował „Grę w krokieta”. Innym razem dostaliśmy zaproszenie na uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w Poznaniu, gdzie malarz przez jakiś czas mieszkał. W tym roku uczestniczyliśmy w otwarciu wystawy prac Leona Wyczółkowskiego w Muzeum w Kwidzynie, zorganizowanej przez Muzeum Okręgowe im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy. Mój brat Zbigniew odwiedzał lasy i rezerваты cisów w okolicach Bydgoszczy, gdzie Leon Wyczółkowski pod koniec życia portretował tamtejsze drzewa i przyrodę, tak znane z jego rysunków i litografii. Duma rozpiera serce i jest miło zwiedzać i smakować organizowane wystawy w polskich muzeach, gdzie często prace malarza grają wiodącą rolę.

JSG: Kim jest dla Ciebie Leon Wyczółkowski?

LW: Zawsze był dla mnie wzorem artysty. Osiągnął mistrzostwo w każdym okresie jego twórczości i w każdej technice. Wielka wyobraźnia, energia artystyczna, ciekawość odkrywcy, optymizm, a wszystko wsparte wspaniałym warsztatem.

Oglądanie jego prac w wielu wypadkach powoduje niezwykle uczucie lewitacji, dostaje się przysłowiowej „gęsiej skóry”. Jest on dla mnie postacią wręcz mistyczną.

JSG: Twój ojciec Witold, też był artystą. Opowiedz o swoim domu rodzinnym.

LW: Od dzieciństwa podziwiałem mojego ojca za wszystko, zwłaszcza za jego talenty artystyczne. Szczególnie za mistrzostwo w portretowaniu. Już jako kilkuletni chłopiec asystowałem mu podczas seansów i notowałem w pamięci jego uwagi i wskazówki, którymi szczerze obdarowywał mnie przez całe życie. Asystowałem też ojcu w plenerach. Pierwsze moje prace to były kopie ojca płócien. Dopiero później, jak poczułem się pewniej, samodzielnie malowałem obserwowany i przeżywany krajobraz.

Oprócz rysunku i malarstwa ojciec uczył mnie liternictwa. Szczególnie kaligrafii. W okresie wakacji zapisywałem całe zeszyty. Za dobre rezultaty byłem nagradzany nie zabawkami, czy słodyczami, ale pędzelkami i to nie byle jakimi, ale firmy Winsor & Newton. W latach 50-tych i 60-tych były to rarytasy. Do dzisiaj mam ich kilka. Te nabyte umiejętności pomagały mi w doskonaleniu warsztatu.

Od ojca dostałem album o twórczości Leonarda Da Vinci,

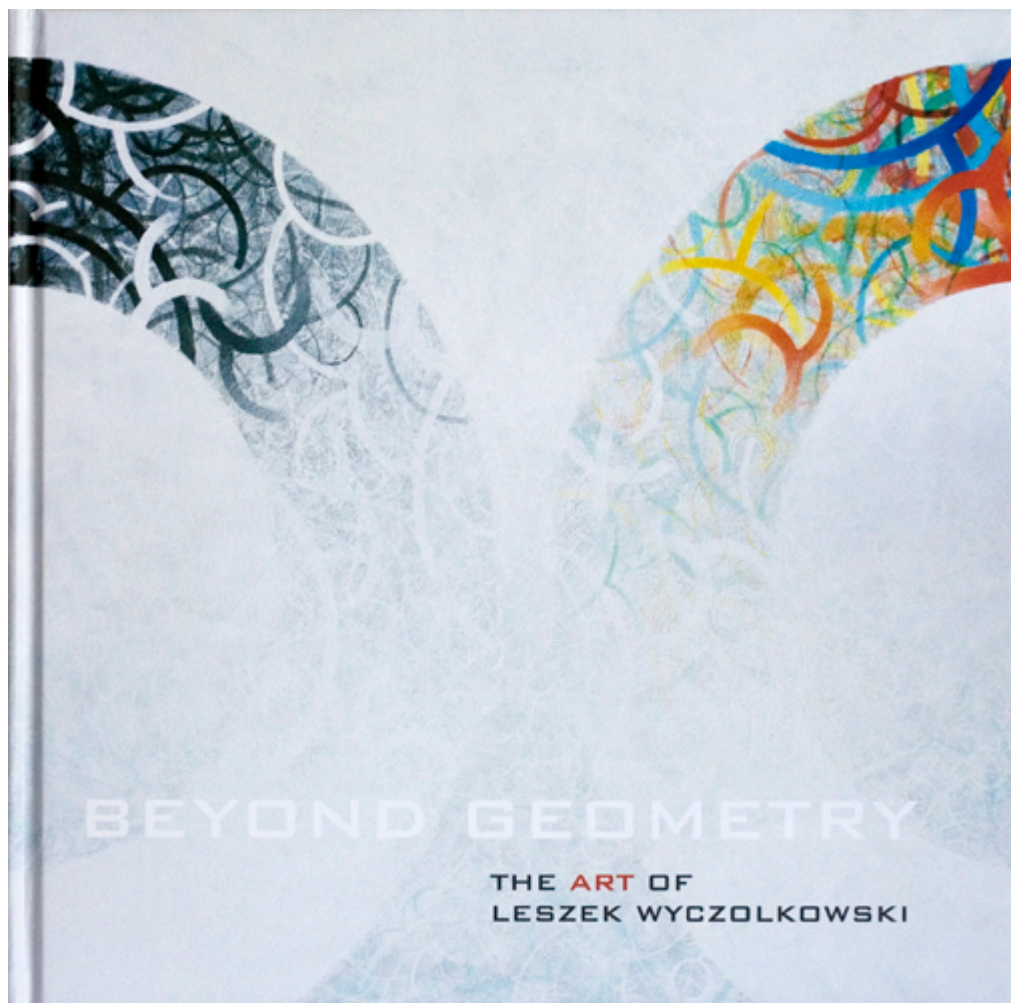
wydanie niemieckie z 1939 roku, z reprodukcjami jego wszystkich, znanych w tym czasie prac. Był to mój elementarz. Od dziecka uczyłem się sztuk pięknych na wzorach z tego albumu. Przez całe życie miałem w ojcu doradcę i podporę w moich artystycznych poczynaniach.

Moja mama Janina, która była nauczycielką i projektantką mody, też miała wpływ na artystyczną atmosferę w domu. Była bardzo wymagającym pierwszym „krytykiem” ojca prac. A że była osobą bardzo praktyczną, często słyszałem jak mówiła do ojca: „nie maluj w tych kolorach. To się nie sprzeda”, lub: „nie powtarzaj tej kompozycji, już to widziałam”. Co do mnie, to uczyła mnie w dzieciństwie języka francuskiego (niewiele już pamiętam). Śledziła i nadzorowała moje szkolne poczynania. Za jej namową skończyłem Technikum Geodezyjne. Stwierdziła, że wystarczy w rodzinie artystów i przed artystycznymi studiami muszę zdobyć „konkretny zawód”. To w przyszłości miało wpływ na moją artystyczną drogę.

Rodzice tworzyli ciepłą i rodzinną atmosferę. Byli naszymi wzorcami. Z bratem mieliśmy wspaniałe dzieciństwo w kochającym się otoczeniu. Zostały wspaniałe wspomnienia, które nawołują nas, aby postępować w życiu SZLACHETNIE.

JSG: Czy czujesz się spełnionym artystą?

LW: Myślę, że artystą spełnionym zostanę, gdy już nie będę w stanie wypowiedzieć czegoś istotnego i nowego w mojej sztuce. Kiedy wyczerpie się twórcza wyobraźnia. Ale teraz cieszy mnie, że mogę nadal prowokować wyobraźnię odbiorcy i zaskakiwać samego siebie. A to dla mnie bardzo ważne.



U mieszkańców raju



Mołdawia

Barbara Gruszka-Zych

Przed odwiedzeniem Mołdawii straszą ci, którzy tu nie byli. Ale w tym kraju nie słyszeć o napaściach na turystów, ani kradzieżach ich aut. Za to ludzie są życzliwi, a krajobrazy niezwykłe.

Według legendy, kiedy Bóg stwarzał świat i rozdawał narodom ziemie zapomniał o Mołdawianach. W ramach zadośćuczynienia,

zaproprowował im zamieszkanie w raju. I dziś te ziemie urzekają. Rozlewające się po horyzont pofałdowane pola i pastwiska. Onieśmielające pęknięcia ziemi – rozległe kaniony i wąwozy z siecią strumyków na dnie (to do nich zbiega się bydło i konie z równin, jak gdzieś na amerykańskiej prerii). Winorośle, nawet nocą dojrzewające od nagrzaných w dzień kamieni wzgórz. Szeroki, meandrujący, miejscami dziki Dniestr, na którym kiedyś przebiegała granica między Rzymem a Bizancjum. Wszystko to skarb miejscowych, ale i odważnych turystów.

Psy na granicy

Kiedy dziś przekracza się granicę ukraińsko-mołdawską, to jakby wjeżdżało się do wielkiej wioski, a nie do raju. Na przejściu za ukraińskimi Czerniowcami nasz autobus rejsowy ze Lwowa do mołdawskich Bielc zatrzymuje się do kontroli granicznej. Celnicy każą siedzącym za nami Gagauzom pokazywać zawartość ich napchanych kraciastych toreb (to wszędzie rozpoznawalny, międzynarodowy „środek transportu” różnych towarów). Ze wszystkich stron dochodzi nocne ujadanie psów, które denerwują się na obcych. Do nas też przybiegło ich kilka, ale nikt z celników na to nie reaguje. Jakiś wyróżniony przez nich psiak ma tu nawet swoją budę. A toaleta zamknięta, bo północ. No to wszyscy udają się na spacer za nią. Na wschód od polskiej granicy zaczynają się

wysypiska śmieci nawet w centrach miast, bo po prostu brak tu nawyków higienicznych. I to najczęściej odstrasza turystów. Papieru toaletowego nie wrzuca się do muszli, ale obok niej, żeby nie zatkać rur. Nie można pić niegotowanej wody, nie wszędzie da się kąpać, bo w niektórych zbiornikach czai się cholera – straszą w internecie. Miejscowych to nie dotyczy, są uodpornieni, ale wydelikacowanych przybyszów z Zachodu – tak. Ten brak kultury wiąże się poniekąd z panowaniem sowieckim. Wtedy wszystko było nie swoje, ale wspólne, czyli – cudze. Nikomu też nie zależało na podniesieniu kultury życia. Teren Mołdawii, w większości dawnej Besarabii, historycznie był związany z Rumunią, ale przez cały XIX wiek należał do Rosji. Po konferencji jałtańskiej został wcielony do ZSRR. Mołdawianie uniezależnili się dopiero w 1991. Ale nikt nie znalazł dobrego pomysłu na krajową gospodarkę i turystykę. Reżim sowiecki systematycznie zabijał potrzeby wyższe tutejszych mieszkańców.

– Moja babcia Polka, od strony mamy Tosi, była dwa razy zsyłana na Sybir – opowiada Dmitrii Curkan z Bielc, nasz przewodnik po mołdawskich trasach. – Ale jak umarł Stalin, to się popłakała. Zakazano nam wierzyć w Boga i ludzie to kupili, bo bali się prześladowań. Cerkiew prawosławna akceptowana przez rząd przetrwała. Ale wielu kojarzyła się z reżimem. – Kościół katolicki rozwija się tu dopiero od 12, 13 lat – mówi duszpasterz kiszyniowskich katolików, Polak, ks. Stanisław Kucharek, pochodzący z rumuńskiej Bukowiny. Ta szczelina w życiu duchowym do dziś daje o sobie znać.

Kłopoty Eleny

Może kiedyś uroda tych ziem wystarczyła, żeby nazywać Mołdowę rajem. Dziś sytuacja tutejszych mieszkańców nie przypomina życia w raju. Według danych statystycznych Mołdawię zamieszkuje 4 445 tys. mieszkańców. Ale niektórzy mówią, że już połowa przeniosła się poza granice. Wyjechali do pracy w Portugalii, Hiszpanii. – *Średnia emerytura wynosi tu 40 dolarów, pensja – 100 dolarów* – wylicza Helena Usova z Bielc, pracująca w trzech miejscach, żeby godnie żyć. Jest też szefową „Jutrzenki”, pisma tutejszej Polonii. Jej zsumowana płaca wynosi średnio od 250 do 300 dolarów miesięcznie. A ceny w sklepach nawet wyższe niż u nas. Tylko przejazd trolejbusem kosztuje w przeliczeniu na złotówki 30 gr. – *To normalne, w Polsce też emigrują za pracą na Zachód* – tłumaczy Elena Palinciuc, absolwentka krakowskiej polonistyki, studentka PAT-u, starająca się udowodnić swoje polskie pochodzenie. Wtedy łatwiej będzie jej wyjechać. Teraz musi załatwiać wizę. I – jako Mołdawianka – przechodzić przez te wszystkie „graniczne” upokorzenia. Do nich należy wypytywanie, ile butelek wódki wiezie (jest tania, dobra na prezent albo zarobek). A ona alkoholi nie wozi i dlatego się denerwuje. Zdarza się, że ludzie pocztą pantoflową ogłaszają, że mają do sprzedaży swoje nerki. W taki sposób chcą zarobić na kształcenie dzieci. Żeby przynajmniej im żyło się lepiej.

Studnia zamiast mineralnej

- *Bielce nie są miastem turystycznym, tylko bloki i bloki* – śmieje się Helena Usowa. - *Odwiedzający fotografują nasze dziury na drogach i rury, które prowadzone są na zewnątrz budynków* – wyprzedza nasze zainteresowanie. - *Nasz teatr budowano 10 lat. A teraz ma przerwę nie tylko w sezonie letnim, ale i zimowym, bo nie starcza na ogrzewanie.* Bieda wychodzi spomiędzy ekskluzywnych supermarketów i ulic z dobrymi sklepami. Wody w kranach brakuje nieraz i cały tydzień, dlatego przy Domu Polskim wykopano studnię głębinową o wdzięcznej nazwie „Beatka”. Teraz Helena nie musi kupować mineralnej. Stada psów na dworcu i na postsowieckich blokowiskach. Nie sprzątane śmieci na ulicach, brak koszy. Mizerna baza noclegowa. Za pokój w hotelu w Bielcach trzeba by zapłacić 50 dolarów. Na szczęście znajomi załatwiają nam tanie mieszkanie w bloku. Właśnie z Bielc wyjeżdżamy w trasę z 26-letnim Dmitrijem, już uznanym komputerowcem, też zarabiającym na życie w trzech firmach. Dima skończył psychologię i może dlatego ma do wszystkiego dystans. Kiedy na dziurawych drogach Gagauzji siadają nam dwa koła, on spokojnie zmienia jedno, a drugie dopompowuje na kolejnych stacjach i bez narzekań dojeżdża do Kiszyniowa. W zeszłym roku z koleżanką

zjeździł Mołdawię, żeby wydać kartki promujące kraj. Daje nam dwie „swoje” pocztówki. Mamy tylko kilka dni, więc wybieramy parę prezentowanych na nich miejsc. Dima włącza tutejsze radio „Dorok” (co po rumuńsku znaczy „dobrej drogi”). W Mołdawii obowiązuje rumuński, ale aż 60% mówi po rosyjsku. Choć ostatnio grupa deputowanych socjal-liberałów wystąpiła z propozycją usuwania rosyjskich napisów i rosyjskiego dubbingu z filmów wyświetlanych w ich kraju. Okazało się jednak, że wszystkie kopie sprowadzane są z Rosji, bo ich zakup w Rumunii byłyby droższy.

Słoneczniki ze spuszczoneymi głowami

Najpierw trafiamy do Sorok, stolicy tutejszych Romów. Na wzgórzu wznosi się dzielnica domów, czasem prawie pałacików, czasem budowli przypominających mieszkania patrycjuszy rzymskich. Mieszanka stylów. A na placach bose Romki rozwieszające pranie. – *Lepiej się nie zatrzymywać* – ostrzega Dima. Jeden z majątniejszych Romów na szczycie wzgórza przed miastem jako znak wdzięczności Bogu ufundował monument zwany przez tubylców „świeczką”. W jego wnętrzu mieści się prawosławna kaplica. Stąd rozciąga się też widok na szerokie wody szarego dziś Dniestru. – *Tam kursuje prom* – Dima pokazuje ciemną plamkę na rzece. Po drodze zatrzymujemy się, żeby pofotografować. Ciemne drzewa jakby specjalnie posadzone w szeregu na linii horyzontu. Przecięte rzeką wąwozy pełne

spragnionego wody i zieleniejszej tu trawy bydła. – *Co ciekawego jest na moim polu?* – wybiega do nas podekscytowany gospodarz, kiedy fotografujemy jego pole. – *Przepiękny widok* – odpowiadamy zgodnie z prawdą. Podczas podróży męczy nas upał. W samochodzie nie ma klimatyzacji i w domach też, bo mało kogo na to stać. Właśnie upał sprawił, że słoneczniki na mołdawskich polach zamiast obracać się za słońcem spuściły głowy. Stoją szerniałe w niekończących się szeregach. Susza zniszczyła 80% pól uprawnych. Prezydent Vladimir Voronin, z pochodzenia Rosjanin – jak mówią „komunista z twarzą europejską”, zwrócił się o pomoc do społeczności międzynarodowej. Odpowiedziała mu Rosja i Unia Europejska. Przysłali w sierpniu transporty z żywnością. – *Ale i tak gospodarczo Mołdawia nie ma nic innym do zaoferowania* – mówi Helena Usova. – *Jej bogactwo to olej słonecznikowy i chyba najlepsze na świecie wina, na które Rosja w ramach restrykcji nałożyła od roku embargo licząc, że wyniszczy to tutejszy przemysł winny.* Na szczęście jej się to nie udało. Ponad 66% powierzchni kraju zajmują właśnie pola uprawne, na których rośnie słonecznik, buraki cukrowe, tytoń, pszenica i oczywiście kukurydza. To z niej przyrządza się narodową potrawę mamałygę. Tę żółtą „babkę” wyrabianą z mąki kukurydzianej nazywają tu słońcem na talerzu i podają z ostrym sosem czosnkowym z oliwą i tartą bryndzą. A na wystawniejsze przyjęcie także z gulaszem z pociętej na kawałki baraniny na ostro.



Mołdawia

Tajemnice mnicha Jefremija

Przy drogach rzędy niskich orzechów włoskich. A co kilka kilometrów studnie głębinowe, przy których można się odświeżyć. Na stacji benzynowej na trasie do Kiszyniowa dziesięcioletni Sieroża patrzy na nas z zainteresowaniem. Uśmiecha się, kiedy dajemy mu coś słodkiego. – *Jest zadowolony, bo jeszcze nie wie, że można żyć inaczej* – podsumowuje Dima. 40 km przed stolicą skręcamy do Orheiul Vechi, średniowiecznego klasztoru wykutego w skale klifowej. Według

archeologów kiedyś znajdowała się tu osada, pochodząca z VII-IV w. przed Chrystusem. Trzeba zwolnić na wyboistych, polnych drogach. – *Za więzieniem musicie skręcić w prawo* – informuje kierowca motoru z doczepianą przyczepką, popularnym tu środkiem lokomocji. – *Jak byłem na praktyce w więzieniu, widziałem paradoksy tutejszego prawa* – mówi Dima. – *Za kradzież ktoś odsiadywał 5 lat, za zabójstwo – mniej.* Nagle zza winnych wzgórz wyłania się ciągnąca wzdłuż wąwozu czarna skalna ściana z zarysem budowanej cerkwi, starą dzwonnica i krzyżem przy białej drodze wydeptanej na szczycie. – *Te otwory w skale to okienka cel mnichów* – pokazuje nasz przewodnik. U podnóża skały niebieska nitka rzeki Raut z kropkami dzikich gęsi. Wchodząc na szczyt czujemy jakbyśmy wstępowali w inną rzeczywistość. Surowe, nagie ściany kanionu otaczają wzgórze. Są dużo wyższe i masywniejsze niż sam szczyt, jakby były jego opakowaniem. Z 40-stopniowego upału z ulgą wchodzimy do skalnej groty, gdzie po zejściu kilkoma olbrzymimi schodami trafiamy do wydrążonej w kamieniu cerkwi. Teraz słońce wpada tu z zachodu, od strony skalnej półki na którą wyszedł mnich Jefremij z opadającą na piersi siwiejącą brodą. Otwartego wejścia i dziur zamiast okien nie zakrywa na noc. Wpada tu światło księżyca i pewnie nietoperze, ale nic o nich nie wspomina. W wydrążonym w skale miejscu do spania, tuż obok kaplicy, ma rozłożone kilimy i koce. Mieszka tak sam od czterech i pół roku. W dzień zasiada za stolikiem zastawionym świeczkami, obrazkami świętych, książeczkami do modlitwy,

balsamem do smarowania dobrym na wszystko, jeśli tak to sobie kupujący założy. Pochodzi spod Sorok. Tylko czasem odwiedza go garbaty dzwonnik przysłany tu jakby z jakiejś powieści gotyckiej. Teraz patrzy na nas spod ciemniej grzywki wyrazistymi, czarnymi oczami. I oczywiście latem – turyści. Często dziennie przychodzi tu po 200, 300 osób. (Po drodze minęła nas grupka młodzieży z Niemiec). – *Szukałem prawdy i tu ją znalazłem* – odpowiada Jefremij przymuszany naszymi pytaniami. – „Co to jest prawda?” – pytał Piłat, ale nie usłyszał odpowiedzi. Wyszedł na plac i doszedł go głos tłumu: „Na krzyż z Nim, na krzyż”. *Prawda to krzyż. Co dziś jest ważne? I tak słuchać nie będziecie* – patrzy na nas z wyrzutem. – *Środki masowego przekazu zalewają nas złymi informacjami, rozbijają duszę. Ojcowie święci mówili: „Człowiek je, żeby żyć”, a dziś ludzie żyją, żeby jeść. I to błąd. Jakie jest z tego wyjście?* – nie wiadomo pyta nas czy samego siebie. – *Oddać życie za Niego. Tam, po drugiej stronie, czekają nagrody, o których się nie śniło nikomu* – uśmiecha się.

Siemion kocha swój Komrat

Na południu Mołdawii leży autonomiczny region Gagauzji. Zamieszkują go Gagauzi – nazywający się „narodem pochodzenia tureckiego”. Według badaczy mogą to być sturczeni Bułgarzy lub nawet sturczeni Grecy. Stanowią 80% ludności tego 170 tys. regionu. Na czele autonomii stoi gubernator Mihail Formuzał.

Wybrali też swój parlament. Ale na szczęście nie stworzyli granicy utrudniającej wjazd. Jedziemy więc wijącą się na pagórkach, mocno sfatygowaną asfaltówką pośród zjawiskowo pięknych żółto-zielonych, wznoszących się i opadających pól, ozdobionych małymi drzewkami. Wreszcie widać Komrat, stolicę Gagauzji, liczącą ponad 20 tys. mieszkańców. W górze naszej drogi sklepik i cerkiew. W dole prawie lepianki Gagauzów i Romów, którzy za cały dobytek mają kilka gąsek albo czarnych owiec, bo białe to u nich rzadkość. Jakiś gospodarz odrywa się od czyszczenia ryby i wita nas z nożem w ręku. Prawie goli, brązowskórzy i skośnoocy chłopcy grają na wyciosanych z drewna miniaturowych instrumentach z chyba tylko jedną struną. Ale i tak są z nich dumni, i dotykając tej struny słyszą muzykę, o której nam się nie śniło. Dla nich dobrze, że jest tak ciepło. Rodzice mogą zaoszczędzić na ubraniach. Kiedy stajemy obok sklepu, zagaduje nas właściciel, Wasilij Nikołajewicz, z dziećmi 3-letnią Lenką i 10-letnim Siemionem. Zaprasza do środka, bo tam chłodniej, a upał dobija do 50 stopni. Z włączonego telewizora możemy się dowiedzieć, że temperatura pobiła dziś wszelkie rekordy wysokości. Zaraz z żoną Natalią zamieniają swój sklepik ogólnospożywczy, w którym na półkach stoją te same marki artykułów co na całym świecie, w małą knajpkę. Siemion staje za ladą i oparty o szklane gabloty z cukierkami patrzy na nas z zadumą. Jego rodzice stawiają na wyciągniętym gdzieś z zaplecza plastikowym stoliku kawę, chleb, ser i oczywiście swojskie wino, które podobno ma w tym

gorącym klimacie właściwości antybakteryjne i często dodawane jest do mało przydatnej do picia wody. Ale oni są niepijący, bo tak sobie założyli. Słyszymy jak Natalia rozmawia z kupującymi. Widać, że uznają ją za „miastowy” autorytet. – *Tu czystej kultury gagauskiej nie ma* – żali się. – *Ustawodawstwo przyszło od Rosji, nawet przeklinają po rosyjsku... A nikt nie kultywuje tradycji. Nie ma tu żadnych zrzeszeń, kółek regionalnych. Gdzie możesz sobie odpocząć?* – zwraca się do męża. – *W barze* – odpowiada za niego. – *Ale ja lubię Komrat* – przerywa jej Siemion, wzorowy uczeń, któremu rodzice chcą podłączyć internet, żeby poznawał świat. – *Bo tu się urodziłem*. Cała ich rodzina mówi też w języku gagauskim, należącym do rodziny języków tureckich, od 1957 zapisywanym w cyrylicy. – *Na przykład „ja ciebie kocham” po gagausku brzmi: „Bien sieni siewierim”* – zaczyna zapoznawać nas z językiem Wasilij. Obok kolorowego, maleńkiego domku w stylu gagauskim wytyczyli miejsce na nowy. I chwala się swoimi marzeniami, jaki będzie. Ale to dopiero kwestia czasu. Częstość nas całymi kiściami dorodnych winogron i – jak swoi – zapraszają, żeby wrócić. Zapisują adres na kartce i podają e-mail syna. Przy drodze powrotnej rozwinięte jak kolorowa wstążka szeregi handlarek, sprzedających winogrona, arbuzy, melony. Zatrzymujemy się po arbuza zamiast wody. Jedna z kobiet o gagauskiej urodzie, słysząc, że rozmawiamy po polsku wyrzywa się: *Mój otiec Poliak, jestem Katia Baliński*. A więc i tu jesteśmy jak w domu.

Władysław Mickiewicz – syn wielkiego ojca



Stanisław Wyspiański, Portret Władysława Mickiewicza, pastel,
1904 r.

Władysław Pomarański

Był on drugim z sześciorga dzieci Adama Mickiewicza. W swoich pamiętnikach pisze prosto i szczerze: „Jedyną moją zasługą jest to, że byłem synem wielkiego ojca”. To zbyt skromna ocena: zrobił dużo dobrego nie tylko promując ojca, ale także będąc czynnym, szanowanym społecznikiem.

Podobne sytuacje w rodzinach w których jedno z rodziców jest osobą utalentowaną, znaną, stają się dużym obciążeniem dla tych dzieci, które idą tą samą drogą co rodzic nie mając jego talentu, przeżywają rozczarowanie, niekiedy dochodzi do tragedii. Najlepszym wyjściem jest wybór przez dziecko innego zajęcia czy

zawodu. Władysław dokonał właściwego wyboru w swym życiu. Nie poszedł w ślady ojca, bo nie miał szans mu dorównać, nie pisał wierszy, nawet wprost nie zajmował się poezją ojca, ale pisał o nim dużo, ciepło, bo cenił jego geniusz.

Ma on wielkie zasługi nie tylko jako działacz społeczny i polonijny wśród tak zwanej „Wielkiej Emigracji” we Francji, ale i dlatego, że pilnie obserwował i notował w swych pamiętnikach wszystko to, co się naokoło niego działo, a działo się dużo: Władysław żył długo, zmarł w wieku 88 lat. „Iskry” w 2012 roku wydały jego „Pamiętniki” liczące ponad tysiąc stron. Pozycja ojca jako wybitnego poety, szanowanego i podziwianego człowieka nie tylko przez Polaków, ale Francuzów, Szwajcarów, Włochów, Turków, Rosjan, Węgrów, Rumunów i innych pomogła mu w nawiązywaniu bliskich kontaktów z bardzo wieloma słynnymi ludźmi: politykami, pisarzami, działaczami społecznymi, nawet naukowcami. Władysław Mickiewicz mając bliskie kontakty z nimi podaje szczegóły, niekiedy dość intymne z ich życia, do których nie mieli dostępu zawodowi historycy. Oto kilka z wielkich nazwisk: Adam Jerzy Czartoryski (jego ojciec chrzestny), Maria Curie-Skłodowska, Giuseppe Garibaldi, Aleksander Dumas, Wiktor Hugo, Aleksander Hercen, przyjaciele ojca jeszcze z czasów studiów w Wilnie: Ignacy Domeyko, Aleksander Chodźko i wielu innych. Nawet znał osobiście i dzięki swoim wpływom spowodował zwolnienie z więzienia w kolonii karnej Aleksandra Berezowskiego, zamachowca na życie cara

Aleksandra II.



Celina, matka Władysława
Mickiewicza.

Władysław do ojca miał szacunek i podziwił jego talent poetycki, ale chyba go nie kochał, co można wyczytać między linijkami „Pamiętników”; matkę Celinę z Szymanowskich szczerze kochał i podziwiał. Jego ojciec wyłania się z kart jego dzieła, jako nieco inna osoba, niż ta opisywana przez biografów poety. Czytając innych odnosi się wrażenie, że jego psychicznie chora żona była dla niego wielkim obciążeniem w życiu, to prawda, ale faktycznie

według świadectwa syna nie trudno dojrzeć sugestie, że i jej mąż nie był bez winy w procesie rozwoju jej choroby psychicznej. Wiemy że oddał ją do szpitala psychiatrycznego, w owych czasach ponurej i okrutnej wykańczalni, gdzie leczono chorych straszeniem, odbieraniem im snu i polewaniem zimną wodą. Dopiero dzięki Andrzejowi Towiańskiemu wróciła do domu, jego silna osobowość spowodowała, że wychodziła z zapaści, wtedy powracała do względnie normalnego życia. Poeta spał ze służącą, która urodziła mu córkę i mimo nalegania żony nie zwolnił jej ze służby. Całe życie byli biedni, niekiedy żyli w nędzy, tak że w pewnym okresie musieli korzystać z materialnej pomocy jednego z jego czterech braci. By nie pogrążyć ojca Władysław pisze, że on nigdy nie był głodny, ale przyznaje, że żyli z dnia na dzień, brakowało odwagi by pomyśleć o jutrze. Finanse domowe, wyżywienie rodziny, opieka nad dziećmi to była domena matki, jej mąż spędzał większość czasu na pisaniu, spotkaniach, zebraniach, występach. Spotykał się z wielkimi tego świata, zachwycał ludzi swą patriotyczną poezją i postawą. Ona ponosiła trudy dnia codziennego. Dopiero gdy dostał pozycję profesora literatury łacińskiej na uniwersytecie w Lozannie, a potem pozycję profesora w nowo założonej Katedrze Nauk Słowiańskich na Sorbonie, warunki materialne rodziny poprawiły się nieco, ale nie na długo.



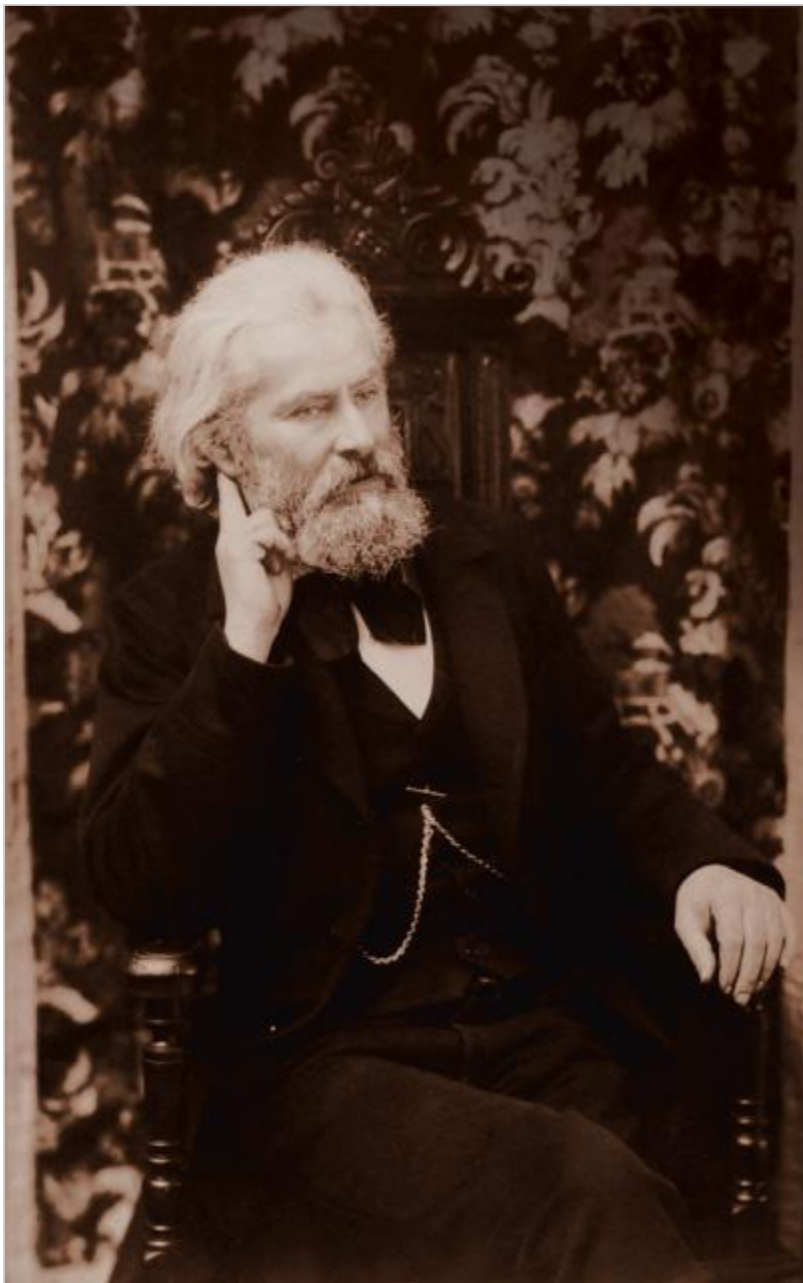
Tragicznym wydarzeniem dla poety i jego czytelników i przyjaciół było związanie się z Andrzejem Towiańskim, mistykiem i marzycielem, który zgromadził w Paryżu koło siebie grupkę zwolenników, stworzył coś w rodzaju swoistej religii, która miała być jedyną metodą nie tylko wyzwolenia krajów uciemnionych i przywrócenia polskiej państwowości, ale zaprowadzić wieczny pokój na świecie. Tezy tej doktryny były tak nierealistyczne, niezwarte, że trudno zrozumieć dlaczego Adam Mickiewicz, wspaniały poeta, ale także wykształcony inteligent, dał się

omamić temu człowiekowi. Zaraz po przejściu na towianizm został pozbawiony pozycji profesorskiej – choć syn twierdzi, że z niej zrezygnował – bo zamiast o historii i kulturze Słowian, coraz więcej zachwycił się Napoleonem, (rzecz bardzo niepopularna w ówczesnych kołach rządowych), i coraz bardziej wciskał do wykładów tezy Towiańskiego. Po przepędzeniu Towiańskiego z Francji, poeta przejmuje kierownictwo nad tym dziwnym mistycznym ruchem: to coś na pograniczu sekty religijnej, łoża masońskiej i skrajnego nacjonalizmu. Jako nowy „mistrz” przyjmuje nowych członków do grona „wtajemniczonych”, przewodniczy tajnym sesjom o charakterze pseudoreligijnym i prawie masońskim, jest krytyczny wobec prawie wszystkich władców Europy oraz papieża. Ten skrajny zwrot życiowy odcina go od dawnych przyjaciół, staje się nieprzydatnym w akcjach społecznych, kończy się jako poeta – od tej pory nic wartościowego nie stworzył. Ten nagły odwrót Adama od rzeczywistości w świat mistyczny, beztroska o dom, zdrada małżeńska, pogłębiały chorobę żony. Jego pomysły odnośnie przyszłości dzieci były dla niej dodatkowym obciążeniem, musiała stanowczo oprzeć się niektórym z nich, jak choćby temu, by Władysław nie wysyłać do regularnej szkoły, lecz szkoły rzemiosł, aby w przyszłości miał „bezpieczne życie, bez rozczarowań”. Dopiero różnice między nim i Towiańskim odnośnie szczegółów sposobu walki o wolność Polaków otrzeźwiła nieco poetę, zrozumiał, że za daleko odszedł od rzeczywistości. Zajął się znowu sprawami społecznymi w polskim

środowisku, uwierzył w wyzwolenie Polski przez legiony polskie powstałe poza Polską, rzecz nierealna i niedorzeczna by ci wolontariusze, choćby z nich powstała cała armia, mogliby wyprzeć z terenów Polski potężnego cara i dwóch cesarzy. Śmierć Celiny w marcu 1855 roku niejako dała mu w tej działalności wolną rękę: dzieci beztrąsko oddaje do rodzin znajomych, każde do innej, trochę po maniacku próbuje organizować polskie legiony. We Francji zdobywa tylko siedmiu chętnych, przenosi się do Włoch, tam ma nieco lepsze rezultaty, wreszcie razem z księciem Jerzym Czartoryskim wybiera się do Turcji – wroga Rosji i przyjaciela Polaków – tam także próbuje organizować polskie siły zbrojne. Książę zajmuje się w tym czasie budowaniem wioski dla wygnańców po upadku Powstania Listopadowego – istniejącego do dzisiaj Adampola. Następuje tragedia, Adam zostaje otruty najprawdopodobniej przez kucharza Greka wynajętego do tego celu przez ambasadę rosyjską w Istambule. Oficjalnie przyjęty powód śmierci, cholera, dzisiaj wydaje się być nieprawdziwym, bo w Turcji nie było w tym czasie epidemii tej choroby, bo poeta umiera w ciągu kilku godzin od momentu poczucia się niedobrze, a na cholerę choruje się przynajmniej kilka dni, jego ciało nie szczyrniało, jak to się dzieje z ofiarami epidemii, nie pochowano go w pośpiechu, jak to zawsze robiono z czasach trwania epidemii z obawy by zaraza się nie przenosiła na innych, jego ciało czekało długo na przewiezienie do Francji, a gdyby to była śmierć z powodu zarazy, władze sanitarne Francji nie dałyby pozwolenia do

wjazdu z nim do ich kraju.

Adam umiera jesienią tego samego roku co żona, dzieciom wali się świat; tak to odczuł Władysław mający w tym tragicznym roku siedemnaście lat. Z tego wszystkiego wypływa dość prosty wniosek: bardziej niż Celina Adamowi, on jej zgotował cięższy los w życiu. Władysław tłumaczy, że te wszystkie problemy domowe omijały dzieci, bo żyły one w swym dziecięcym świecie. Mam prawo wątpić w to, że najstarsza ich córka Maria i Władysław nie wiedzieli co się dzieje w rodzinie. Być może, że te wszystkie problemy małżeńskie, rodzinne i domowe spowodowały załamania psychiczne żony poety. W okresach kiedy wracała do równowagi psychicznej była dobrą matką i gospodynią domową, dlatego dzieci ją kochały. Żyła godnie i umarła godnie i nie z powodu choroby psychicznej, lecz na raka.



Władysław Mickiewicz

W „Pamiętnikach” Władysław pisząc o tej śmierci cytuje słowa listu przyjaciółki mamy, świadka zgonu. Píše ona w tym liście, że Celina poprosiła męża, by jej przekazał opinię lekarza ile dni życia jej jeszcze zostało. Adam to zrobił i powiedział, że tylko trzy. Poprosiła o sprowadzenie księdza, wyspowiadała się. Oto

dalszy, dosłowny cytat z tego listu:

Pani Adamowa słyszała o śmierci cara Mikołaja i na kwadrans przed zgonem mówiła o tym tak: Nie myślałam, że się spotkamy tak szybko. Do ostatnich chwil zachowała zimną krew. Nie da się opisać wyrazu jej oczu, gdy wyciągając ramiona obejmowała spojrzeniem portrety swych rodziców wiszące u stóp łoża, jakby ich samych widziała i jakby otwierali jej swe objęcia. Pan Adam nie wątpi, że w tej stanowczej chwili ci drodzy rodzice byli tam rzeczywiście i że ją ze sobą zabrali.

Przypomnę, że wspomniany car, największy prześladowca Polaków wśród wszystkich carów, Mikołaj I, zmarł 2 marca 1855 roku, Celina odeszła z tego świata trzy dni później.



Władysław Mickiewicz z rodziną. Najstarszy syn Adama Mickiewicza zyskał uznanie pomagając Polakom na emigracji i sprawie odzyskania niepodległości przez Polskę. Mówiono o nim „strażnik ojcowskich pamiątek”, „ambasador sprawy polskiej” i „godny promotor dzieł ojca”, fot. mat. prasowe.

W sześć lat po śmierci rodziców Władysław Mickiewicz wybiera się w podróż śladami swego ojca. To była najważniejsza podróż jego życia, rodzaj pielgrzymki. Jest jeszcze nieżonaty. W Istambule spotyka się z Ludwiką Śniadecką, żoną Michała Czaykowskiego, pisarza i wojownika o wolność, który dla dobra

sprawy zmienia wiarę, dostaje od sułtana nominację na stanowisko paszy, nazywa się odtąd Sadyk-Pasza. Ich pałac, tak jak w Paryżu dom Mickiewiczów, to „przystań” dla Polaków. Śniadecka musiała być wyjątkowo piękną, choć już dojrzałą kobietą, bo Władysław przyznaje się, że zakochał się w niej, jak wcześniej w Wilnie młodzieńcy Julo Słowacki. Z ich pomocą przedostaje się do Odessy, jednak nie udaje mu się ukryć kim jest przed najsprawniejszą w owych czasach w Europie służbą policyjno-wywiadowczą Ochraną. Ci pozwalają mu na podróżowanie po „Matiuszce Rosii”, mimo że wiedzieli, że jest synem „buntowuszczyka” Adama, którego razem z 19-toma Filaretami i Filomatami dziesiątki lat wcześniej wydano z Uniwersytetu Wileńskiego i zesłano w głąb Rosji za ich działalność patriotyczną. Może to, że poeta polski był przyjacielem ich największego poety Puszkina, było usprawiedliwieniem tego przywileju, ale, oczywiście, był mocno inwigilowany w czasie swej podróży. W drodze na Litwę, do ojczyzny ojca, spotyka wielu wspaniałych ludzi. Pierwszy przystanek po Odessie to Kijów. Tu poznaje polskiego patriotę Stefana Bobrowskiego, późniejszego naczelnika Warszawy w czasie Powstania Styczniowego. Był on wujem Conrada, czyli Józefa Korzeniowskiego, marynarza i wspaniałego pisarza powieści w języku angielskim, uznanego przez anglojęzycznych krytyków literackich za jednego z największych mistrzów tego języka. Nie mając możliwości nawiązania z nim kontaktu, odwiedza w Żytomierzu jego ojca Apollona, „poetę po

mistrzowsku władającego wierszem". Tu poznaje także Józefa Ignacego Kraszewskiego. Stali się przyjaciółmi, przetłumaczył jego powieść „Ulanę” na język francuski i opublikował w swoim piśmie. Gdy Kraszewski wpadł w kłopoty z prawem i znalazł się w więzieniu, Władysław poprzez swoje wpływy pomógł mu wydostać się na wolność. Wreszcie dociera do Nowogródczyny, odwiedza Zaosie, gdzie ojciec się narodził, odwiedza Tuhanowicze, gdzie Adam poznał swą pierwszą miłość Marylę Wereszczakównę. Ta nie chciała się z nim spotkać, może dlatego, że mogła być ciężko chora, bo w rok czy dwa później umarła, a może i dlatego, by nie wspominać trudnych chwil z przeszłości i wtajemniczać syna w swoje intymne stosunki z ojcem. Przypomnę, że jej rodzice przerwali ich romans, ożeniono ją bogato z hrabią Wawrzyńcem Puttkamerem. Gdy się okazało, że jest niezdolny do współżycia małżeńskiego, że ona musi żyć w tak zwanym białym małżeństwie, wtedy przypomniała sobie o poecie, nawiązuje ponownie z nim romans. Władysław jedzie nad jezioro ich wzdychań miłosnych, nad Świteź, o którym poeta napisał jeden ze swych najpiękniejszych, najbardziej romantycznych wierszy. Następne miejsce zatrzymania to Petersburg. Pamięć o jego ojcu była tam ciągle żywa, jest przyjmowany jak osoba bardzo ważna. Książę Piotr Wiaziemski, przyjaciel Puszkina, wydaje wspaniałe przyjęcie na jego cześć, i choć był cenzorem carskim, pozwolił, podkreślając tym swą radość z tego spotkania, by ktoś recytował fragmenty „Dziadów”, tego chyba najbardziej patriotycznego i antyzaborczego dzieła

Adama Mickiewicza. W Petersburgu Władysław spotkał kuzynkę Marię Malewską, zakochali się w sobie, jej ojciec, szwagier i przyjaciel jego ojca, a w tym czasie wysoki urzędnik na dworze cara, z dużymi oporami zgodził się ostatecznie na ich małżeństwo.

Na tereny zaboru rosyjskiego Władysławowi nie wolno było wjeżdżać, udaje mu się jednak dostać do Warszawy i to tuż przed wybuchem Powstania Styczniowego. Jest powszechnie znany, dopuszczano go do uczestnictwa w przygotowaniach do powstania, a w jego „Pamiętnikach” znalazło się kilkadziesiąt bardzo ciekawych stron o Warszawie i Warszawiakach. W kilka lat później biega po Paryżu by znaleźć locum i środki utrzymania dla wielu z tych, z którymi konspirował w Warszawie przed powstaniem.

Po upokorzeniu Francji przez najazd pruski Władysław Mickiewicz intensyfikuje jeszcze bardziej swoją działalność patriotyczną i pisarską. W tak zwanej Komunie Paryskiej brali udział jako wodzowie jego znajomi trzej generałowie polscy: Jarosław Dąbrowski, Roman Czarnowski i Walerian Wróblewski; temu ostatniemu Władysław uratował życie, opisuje w „Pamiętnikach” ich udział w tym zrywie patriotycznym. W roku 1864 zakłada wydawnictwo o nazwie Księgarnia Luksemburska, wydaje 68 dzieł patriotycznych w ramach serii „Biblioteka Ludowa Polska” i około stu innych tytułów. Píše nie tylko

wspomniane „Pamiętniki”, które były nieznane ogółowi w czasie jego życia, ale pisze i wydaje czterotomową książkę „Żywot Adama Mickiewicza”, inne kilkutomowe dzieło pod tytułem „Emigracja Polska 1860-1890”, wydaje także dzieła literackie swego ojca w 11 tomach i w kilku tomach jego korespondencję. Współpracował z przyjacielem i uczniem ojca, Arnandem Levy, któremu udało się przewieźć zwłoki Adama Mickiewicza z Turcji do Francji, w jego piśmie „Le Patriot” drukując w nim szereg artykułów. Zaangażował się w proces przewiezienia zwłok jego ojca na Wawel, udało się to zaaranżować mimo tego, że Polska ciągle była jeszcze w niewoli. Doczekał się jednak czasów, o które walczył: żył jeszcze przez osiem lat od momentu powrotu Polski na mapę. Pisał teraz przeważnie do polskich czasopism: *Dziennika Poznańskiego*, *Tygodnika Ilustrowanego* i *Wiadomości Literackich*. Uniwersytet Wileński nadaje mu tytuł honorowego profesora, Uniwersytet Jagielloński czyni go swoim doktorem honoris causa, prezydent kraju nadaje mu Krzyż Komandorski Polonia Restituta. Umiera 9 czerwca 1925 r.



Kondukt pogrzebowy Władysława Mickiewicza.

Najciekawszym jego dziełem są, moim zdaniem, jego „Pamiętniki”. Zawierają masę informacji historycznych i ciekawostek – to prawdziwy dokument długiej epoki w dziejach

Europy i niejako powiew świeżego powietrza z tego powodu, że rozwiewa w nich wiele zastygłych stereotypów. Oto jeden z przykładów. W domu Mickiewiczów według powszechnego wierzenia wypowiedanie nazwiska Juliusza Słowackiego miało uchodzić za rzecz wprost nieprzyzwoitą. W rzeczywistości nie tylko było ono wypowiedane, ale Władysław Mickiewicz przetłumaczył na język francuski wydrukował w swoim wydawnictwie tom jego poezji, cytuje w „Pamiętnikach” odczyt G. Leconte’a w Towarzystwie Literatów, w którym znajduje się ta wypowiedź: „Pośród współczesnych Mickiewicza wymienić możemy nazwiska: Słowackiego, wizjoniera i proroka... „. Inne z wymienionych nazwisk to Bohdan Zalewski i Zygmunt Krasiński.

Ciekawy człowiek, patriota, tytan pracy, wielki społecznik – warto o nim pamiętać!

Sofia Casanova

Lutosławska



Dwór Lutosławskich w Drozdowie, koło Łomży.



Dwór Lutosławskich w Drozdowie, koło Łomży.

Florian Śmieja

Do niedawna niewiele można się było dowiedzieć zarówno w Polsce jak w Hiszpanii o hiszpańskiej pisarce i dziennikarce Sofii Casanova Lutosławskiej (1861-1958), pierwszej żonie Wincentego Lutosławskiego. Sytuacja w obu krajach sprawiła, że milczano na jej temat, a o życiu i twórczości istniały tylko skąpe artykuły i noty. Jej osoba była niewygodna zarówno w post frankistowskiej Hiszpanii, jak też dla Peerelu.

Od kilkunastu lat zaczęły się wreszcie pojawiać rozprawy i monografie poświęcone tej nieprzeciętnej kobiecie, najpierw w Stanach Zjednoczonych dzięki wysiłkom Ofelii Alayato, następnie w Hiszpanii, gdzie oprócz wznowień reportaży Sofii z czasów

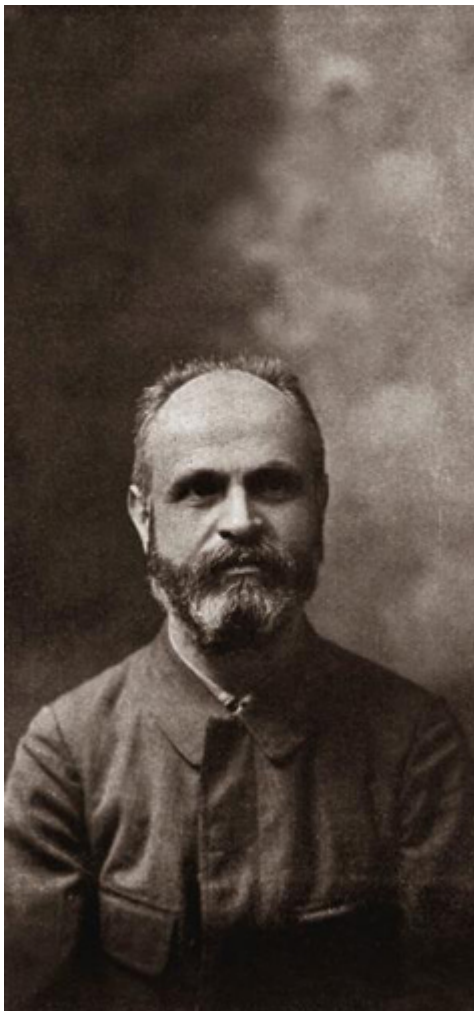
rewolucji bolszewickiej, wydano sążnistą monografię, której egzemplarz podarował mi wiosną 1989 roku w Opolu były minister spraw zagranicznych Hiszpanii, a potem prezydent Autonomicznej Galicji, a więc ziomek pisarki, Fraga Iribarne.

Sofia Casanova wydała trzy zbiorki poezji, kilka powieści i liczne reportaże. Na język hiszpański przełożyła m.in. "Quo vadis?" oraz "Bartka zwycięzcę". Dla madryckiego dziennika "ABC" napisała bez mała osiemset artykułów. Informowała w nich o sprawach Europy Wschodniej, pisała o rewolucji rosyjskiej, była gorącą orędowniczką Polski, swojej przybranej ojczyzny, aczkolwiek niejednokrotnie wytykała jej wady.

Swojego męża, młodego naukowca Wincentego Lutosławskiego, poznała w Madrycie. Była już wtedy obiecującą poetką. Zakochany Polak uczył swoją bogdanę języka polskiego na "Panu Tadeuszu", którą młoda para miała ponoć przeczytać wspólnie dwanaście razy. W romantycznej aurze lektury uroili sobie, że to właśnie z ich małżeństwa narodzi się mąż 44, który przyniesie Polsce wolność. Dlatego z ciężkim sercem przeżywali przyjście na świat pierwszej pociechy, dziewczynki, jak się miało okazać, pierwszej z czterech córek, zamiast oczekiwanego, mitycznego Henryka. Najwyraźniej zawiodła "obca" matka.



Sofia Casanova-Lutosławska



Wincenty Lutosławski

Jej poezją zainteresował się Miciński, zaproszony, obok Przybyszewskich, do hiszpańskiego domu Lutosławskich, niedaleko La Coruña w Galisji oraz Lange. Później, w Krakowie Sofia miała okazję poznać także Kasprowicza, Reymonta i Wyspiańskiego. Bliski stał się Zygmunt Balicki, a szczególnie Roman Dmowski, który został mentorem jej córek. Niepokojny duch Lutosławskiego gnał go po świecie i długie nieobecności oddalały od rodziny. Małżeństwo się rozpadło. Kiedy Lutosławski ożenił się po raz drugi, honorowa Sofia zaczęła podpisywać korespondencję jako “wdowa po Lutosławskim”.

Z Polski jeździła do Hiszpanii i była tam przyjmowana z honorami. W swojej ojczyźnie mogła wieść życie komfortowe jako uznana literatka, osoba publiczna i hołubiona w kręgach rojalistycznych. Ciągnęło ją jednak do Polski, z którą wiązała swoje losy. W Warszawie pracowała jako wolontariuszka w szpitalu, potem ewakuowana do Rosji w Petersburgu była świadkiem wybuchu rewolucji. Udało jej się zrobić wywiad z Trockim. Po wielu tarapatach zdołała wrócić do Warszawy i do niedalekiego Drozdowa. Jej trzy córki (czwarta zmarła) wyszły za mąż za polskich działaczy niepodległościowych. Przeżywszy okupację niemiecką Sofia przeniosła się pod koniec życia do Poznania, gdzie zmarła.



Sofia Casanova

Odwiedzając dworek Lutosławskich w Drozdowie pod Łomżą kilkanaście lat temu, nie zauważyłem wtedy żadnego śladu po Sofii wśród zachowanych po gospodarzach pamiątek, a zasługuje ona z wszech miar na osobną wystawę manuskryptów, pism i książek. Była nie tylko wieloletnią rezydentką dworku, ale też wytrwałą kobietą czynu, pacyfistką, rzeczniczką polsko-hiszpańskich relacji, skutecznym ambasadorem Polski w Hiszpanii i krajach języka hiszpańskiego, jako że jej artykuły były przedrukowywane przez czołowe pisma Ameryki Południowej..

Dziś w Polsce nastały inne czasy i należy odrobić zaniedbania i pielęgnować wszystkie aspekty kultury hiszpańskiej. Zachowawcza Sofia Casanova i jej ostra krytyka rewolucji sowieckiej oglądanej na własne oczy, znajdą obecnie, tak jak znalazły w Hiszpanii, łaskawsze przyjęcie i zainteresowanych odbiorców. Szczególnie potrzebne wydaje mi się uważne przebadanie okresu krakowskiego Lutosławskich, kiedy to przez ich salon przewinął się cały poczet wybitnych twórców, i określenie znaczenia tych bliskich kontaktów.

Cieężko doświadczona hiszpańska pisarka uwikłana w losy obcego narodu i jednej z jego znakomitych rodzin, czeka teraz na sumiennego polskiego biografa i krytyka, który by nakreślił jej pełną sylwetkę i przypomniał jej przemilczane osiągnięcia i zasługi.

Miłość po szkocku.

Prolog.



Warszawa, Plac Zamkowy

Fragment powieści polskiej pisarki z Perth (zachodnia Australia) opartej na historii mieszkającej w Australii Szkotki Mary, która zakochała się w Polsce, dzięki ojczymowi Polakowi. Jej przybrany ojciec, w powieści Jan Rogacki (właściwie Władysław Kulecki),

podczas II wojny światowej pływał na słynnym kontrtorpedowcu ORP „Błyskawica”.

Anna Habryn

Siedziała w taksówce, która wiozła ją do centrum Warszawy, słuchała jak kierowca swoją kulawą angielszczyzną objaśnia jej znaczenie miejsc i budynków, które mijają – i myślała:

Dlaczego czuję takie patriotyczne wzruszenie? Jakbym była w domu, jakbym urodziła się w tym kraju. Przecież łączy mnie z nimi tylko taka cieniutka nić, jeden człowiek... Gdybym Janowi o tym opowiedziała, pewnie by tego też nie zrozumiał.

A przecież tą pielgrzymką do Polski oddawała mu cześć, deklarowała, że stoi po jego stronie, że opowiada się za tym wszystkim, czego on się dobrowolnie wyrzekł. Czuła w sobie na myśl o Janie święty gniew. Zrezygnował z siebie samego, głupio i lekkomyślnie... Tak, jakby zaprzedał swojej Sheili własną duszę w zamian za gwarancję szczęścia i miłości. Tylko, że Sheila nie dotrzymała umowy! I dlatego ona, jej córka, musi Janowi zwrócić część tej zapłaty, to, co da się jeszcze ocalić.

Pojechała na Stare Miasto, zatłoczone tłumem turystów. Chodziła wśród obrazów rozstawionych pod ścianami domów i na środku, w pełnym słońcu, wśród akwarelowych i olejnych pejzaży

i widoków Warszawy sprzedawanych wcale nie za takie grosze. W starej baszcie, w sklepie przypominającym Sezam, oglądała cudnie przejrzyste bursztyny. Wchodziła do mrocznych kościołów pełnych rzeźbionych ołtarzy, i stalli, i chórów, i kazalnic, i organów, a wszędzie trwało ciągle nabożeństwo.

W jednej z wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami usłyszała nikły, wibrujący dźwięk akordeonu. Sama kiedyś próbowała grać na akordeonie. Poczowała ciepło w sercu. Rozejrzała się. Na chodniku pod ścianą siedział chłopiec w łachmanach, cygańskie dziecko, i grał piosenkę, której angielskie słowa dobrze pamiętała:

Oh, how we danced on the

Night we were wed...

Tę piosenkę grano podczas jej własnego ślubu. Musiała podejść bliżej, jakby pociągana nitką dźwięków. Idąc, powstrzymywała nogi, żeby nie pęsały zbyt wyraźnie w rytm walca, przecież to nie wypada. Jej oczy lśniły jak gwiazdy, kiedy dawała chłopcu wielką garść drobniaków. Odpowiedział uśmiechem równie radosnym, jak jej własny.

Kupiła sześć lalek w ludowych strojach i jeszcze kilka

drobiazgów z kryształu. Drewnianą płaskorzeźbę z godłem Orła Białego – dla Jana. I kilka polskich proporczyków. I wisiołek z bursztynu – to dla siebie. Talerz z namalowaną Syrenką, której polskiego imienia nie знаła, ale wiedziała, że to symbol Warszawy i że słowa wyryte na obrzeżu znaczą: *Warszawa zawsze wolna*.

Rozważała przez chwilę pomysł przejechania się dorożką, ale zarzuciła go, bo poczuła się głodna. Nie, dość już polskiej kuchni. Znalazła pizzerię, gdzie podano jej coś znanego i pewnego – i do tego piwo.

Potem znów wyszła w słońce.

Wędrowała wśród tłumu turystów fotografujących wszystko. Wiedziała, że Starówka jest tylko rekonstrukcją, odbudowaną z ruin. Ale w zachowanych gdzieś fragmentach starych ścian widziała autentyczne dziury po niemieckich kulach. Te kule zabijały tu niegdyś ludzi, zwykłych ludzi. Dobrze, że te znaki zostawiono dla przyszłych pokoleń, aby wiedziały. Czuła, że to miejsce, tak pieczołowicie odbudowane ze szczątków, jest święte. (...)

Zeszła nad Wisłę, w dół po zielonym stoku. Woda płynęła spokojnie. *To byłby piękny obraz, gdyby go namalować, z dołu patrząc na ten most* – pomyślała. Jacyś chłopcy próbowali łowić z

brzegu ryby.

Przypomniały jej się dzieci, które spotkała podczas porannego spaceru koło hotelu. Zapytała je, gdzie jest najbliższy przystanek autobusowy. Chciała po prostu nawiązać rozmowę. Powiedziała, wskazując na siebie:

-Nie polskie, *Scottish*.

Obstąpiła ją cała czwórka. Znały kilka angielskich słówek i prześcigały się w wysiłkach, żeby się z nią porozumieć. Udało im się nawet dać jej do zrozumienia, że przejęły się śmiercią księżnej Diany. Mary bawiła się tą rozmową znakomicie. Powiedziała im, że jest z Australii i nawet spróbowała naśladować kangura! Pękały ze śmiechu. A potem już musiały iść.

-Do widzenia pani – powiedziały. – Szkoła.

Patrzyła za nimi, pewna, że tego dnia będą miały co opowiadać nauczycielce.

A teraz pomyślała obserwując małych urwisów nad rzeką: *Dzieci są nie skażone przeszłością, szczęśliwe i mają wielką, wspaniałą przyszłość przed sobą.*

Siadła na trawie, w cieniu drzewa, wyciągnęła z torebki długopis i nabazgrała na skrawku papieru: *Vistula...*, nie, polskie słowo *Wisła* będzie lepsze:

Wisła, Wisła, daleko płyniesz

Od Krakowa do Bałtyku.

Z warszawskiego mostu w dół

Moje oczy śledzą nurt.

Myślę o twoich synach

Zabitych wiele lat temu.

Walczyli, żeby cię bronić

Wolność dla Polski – krzyczeli

Swoim ostatnim oddechem.

Bracia i siostry

Trzymajcie głowy wysoko

Polska jest wolna

Polska nigdy nie zginie.

Przyjrzała się temu tekstowi. Tak, to było to. Była z siebie zadowolona.

Kiedy wspinała się z powrotem pod Barbakan, przy schodach wiodących do góry zobaczyła posąg powstańca, żołnierza. Stał na małym, białym cokole, w hełmie, z karabinem. Było w tym widoku coś znajomego. Chwilę trwało, zanim zrozumiała, co to takiego – i struchlała. Rozejrzała się dookoła i ze zgrozą zobaczyła, że to „coś” jest wszędzie: graffiti. Czarną farbą, na starych, poranionych kulami ścianach, na nowych białych domach, na cokołach pomników. Najobrzydliwsze słowa, ozdobnie przybrane w zawijasy, albo brutalnie proste, grube, bez osłonek. Dobrze jej znane.

Starszy pan, z trudem wspinający się po schodach, z laską w rękę, przystanął koło niej, zdyszany. Popatrzył na nią, za jej wzrokiem, na ten pomnik powstańca z ozdobnym „*Fucken*”... a potem powiedział z ironią:

-No cóż, cała młodzież uczy się dziś angielskiego.

Nie zrozumiała jego słów. Potoczył łaską dookoła:

-English – powiedział.

To było tak, jakby ją uderzył. Chciała wytłumaczyć: ja jestem Szkotką... ale nie powiedziała nic. A on pokiwał głową – i poszedł dalej.

Dalszy ciąg ukaże się w poniedziałek 27 lutego 2017 r.

Boginii tańca.

Bronisława Niżyńska.



Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Joanna Sokołowska-Gwizdka: W styczniu w Kanadzie ukazała się Pani najnowsza książka „The Chosen Maiden”. Polska premiera „Bogini tańca” planowana jest na maj tego roku. Co zafascynowało Panią w słynnej tancerce Bronisławie Niżyńskiej, że zajęła się Pani tą postacią?

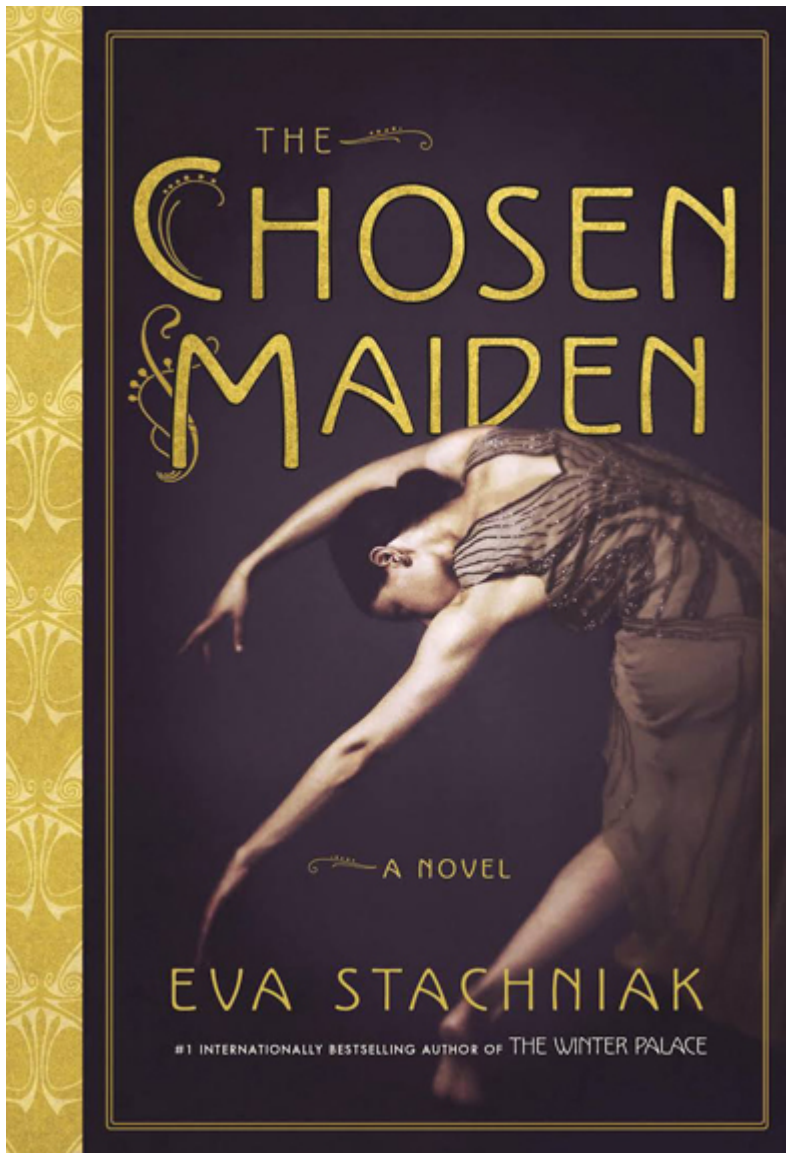
Ewa Stachniak: Przede wszystkim jej niezwykła siła i zaangażowanie w sztukę, której poświęciła życie. W jej pokoleniu kobiet, nie było to aż tak częste, choć Bronisława dojrzewała

wśród światowej sławy baletnic, takich jak Anna Pawłowa, Tamara Karsavina, czy Matylda Krzesińska. Poza tym była córką polskich tancerzy którzy wyjechali do Rosji „za chlebem” i zawsze żyli na granicy kultur. Zafrapowało mnie także, że na całym jej życiu zaważył cień sławy brata. Wacław, Bóg Tańca, jak o nim mówiono, od dziecka uznawany był za wyjątkowy talent. Jego młodsza siostra wiele się od niego nauczyła, ale aby stać się dojrzałą artystką musiała poszukać własnej artystycznej drogi. I to właśnie zrobiła.

JSG: Wacław Niżyński był postacią tragiczną, pogrążony w chorobie psychicznej trzydzieści lat spędził w zakładach zamkniętych. Pod koniec lat 90. ukazał się w Anglii jego „Dziennik”, bez skrótów dokonanych wcześniej przez jego żonę, pisany pomiędzy ostatnim występem a rozpoczęciem leczenia. Publikacja ta spowodowała falę zainteresowania Wacławem Niżyńskim, jego geniuszem i tragizmem. Czy zwiększyło się też wtedy zainteresowanie jego siostrą Bronisławą?

ES: Interesowano się nią już dużo wcześniej. *Wspomnienia* Bronisławy Niżyńskiej – skompletowane jeszcze w 1971 roku, ukazały się w 1981 roku, 9 lat po jej śmierci i spotkały się z dużym zainteresowaniem. Świat baletu nigdy o niej nie zapomniał, choć dotychczas nie zdobyła powszechnej popularności. W USA, Lynn Garafola, z Barnard College, pracuje obecnie nad biografią Niżyńskiej, może więc jesteśmy świadkami

zmian?



JSG: Z „Dziennika” Wacława Niżyńskiego wynika, jak dużą rolę w jego życiu odgrywała siostra. Czy słynny tancerz był dla Bronisławy tym samym, czym ona dla niego?

ES: Był dla niej nauczycielem, mentorem, inspiracją, partnerem. Wyrastali razem, mieli bardzo podobne rozumienie baletu. Byli dla siebie artystyczną inspiracją. Różnica polegała na tym, że

Wacław naznaczony sławą tak wcześnie w swoim życiu i starszy od siostry o prawie dwa lata, przez długi czas ją wyprzedzał. Musiała uwolnić się od jego wpływu, znaleźć własny głos, rozwinąć własne wizje. Udało jej się to dopiero w rewolucyjnej Rosji, w Kijowie, gdzie znalazła się w samym sercu modernistycznej rosyjskiej awangardy.

JSG: Wybrana na ofiarę – to rola w drugiej części „Święta wiosny” Igora Strawieńskiego, słynnym balecie, wystawionym przez Balety Rosyjskie Siergieja Diaghilewa w 1913 roku, z choreografią Wacława Niżyńskiego. Dziewczyna ginie w tańcu, dzięki czemu przyroda budzi się do życia. Wybraną miała zatańczyć Bronisława Niżyńska, ale ostatecznie rolę tę otrzymała Maria Piltz. Czy tytuł książki „The Chosen Maiden” ma być metaforą życia słynnej tancerki?

ES: To, że nie mogła zatańczyć Wybranej w 1913 roku było dla Bronisławy ciosem. Nie zatańczyła, bo była w ciąży i ta rola mogła kosztować życie jej nienarodzonego dziecka. Szkoda że tak się stało, ale rzeczywiście Wybrana ma w mojej powieści wiele znaczeń. To nie tylko słynna rola czy ofiara złożona budzącej się do życia ziemi. Bronisława została wybrana by stać się pełnoprawną artystką, by rozwinąć swój własny styl, stworzyć balety, które przeszły do historii.

JSG: Bronisława Niżyńska oprócz współpracy z Diaghilevem,

miała własny zespół baletowy w Kijowie, była baletmistrem i choreografem Polskiego Baletu Reprezentacyjnego, założyła szkołę baletową w Los Angeles, współpracowała z American Ballet Theatre, kierowała też Buffalo Ballet Theater. Czy można powiedzieć, że artystka odniosła światowy sukces?



Bronisława
Nijńska, fot.
Gordon Anthony,
1937 r.

ES: Zdecydowanie. Była i jest uznanym choreografem i jedną z pierwszych kobiet, która zdobyła międzynarodowe uznanie. Do tej listy dorzuciłabym jeszcze Teatro Colon w Argentynie, który nigdy nie ukrywał, że to Bronisława Nijńska stworzyła

podwaliny argentyńskiego baletu.

JSG: Jak układało się jej życie prywatne?

ES: Miała dwóch mężów. Pierwszy, Sasza Koczetowski, zostawił ją z dwójką małych dzieci w Kijowie w 1921 roku. Drugi, Kola Singajewski, który był uczniem Szkoły Ruchu, jak nazywała się kijowska szkoła tańca Bronisławy Niżyńskiej, był jej oddany aż do jego śmierci w 1968 roku. Broni wielką, choć niezrealizowaną, miłością, nie był jednak ani Koczetowski ani Singajewski, a Fiodor Szalapin, wielki rosyjski śpiewak operowy. Przeżyła wiele osobistych tragedii, ale także wiele radości. Miała ciekawe życie.

JSG: Wacław Niżyński mówił, że czuje się Polakiem, mimo, że słabo mówi po polsku. Czy Bronisława Niżyńska też czuła się związana z Polską?

ES: Oboje wychowali się w polskim domu. I Wacław i Bronia zostali ochrzczeni w Warszawie. W 1928 roku kiedy Bronia pracowała w Argentynie, pisała do matki listy po polsku. W 1937 roku, została baletmistrem w Teatrze Wielkim i choć angaż ten nie zakończył się po jej myśli, jej polski okres był bardzo owocny. Polskość była dla niej sprawą osobistą, rodzinną. Nie afiszowała się z nią, ale też nigdy nie starała się umniejszyć jej znaczenia.

JSG: „The Chosen Maiden”, tak jak inne Pani książki jest

powieścią historyczną. Na ile jest tam faktów, a na ile fikcji?

ES: Bardzo się staram by moje powieści oparte były na historycznych faktach. Pracując nad powieścią korzystałam z archiwalnej kolekcji w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. *The Bronislava Nijnska Collection* zawiera pokaźną kolekcję notatek, listów, pamiętników i zdjęć – wszystkie te materiały posłużyły mi jako źródła. Poza tym rozmawiałam z tancerzami i choreografami, starając się poznać tajniki ich pracy. Fikcją jest moja tych faktów interpretacja.

JSG: Czy i z tą postacią się Pani „zaprzyjaźniła”?

ES: Bardzo. Stała się moją przewodniczką po świecie współczesnego baletu, nauczyła mnie patrzeć na taniec oczyma choreografa. Przeżywałam z nią jej radości i jej tragedie. Była mi też bliska, gdyż wychowywały mnie kobiety pokroju Broni i jej matki: odważne, naznaczone historią, silne. Moja babcia nie była dokładnie rówieśniczką Broni ale należały do tego samego pokolenia kobiet, które nie mogły sobie pozwolić na słabość bo przetrwanie ich rodzin spoczywało na ich barkach.



Bronisława Niżyńska w balecie „Les biches”,
1924 r., fot. pinterest.

JSG: Do jakich miejsc związanych z Bronisławą Niżyńską dotarła Pani zbierając materiały do książki?

ES: Paryż, Wenecja, Monte Carlo, Nicea, Normandia, Warszawa, wszędzie, gdzie Balety Rosyjskie odnosiły swoje największe sukcesy, gdzie powstawały choreograficzne arcydzieła Wacława i Bronisławy. Odwiedzałam teatry, w których pracowała, sceny na których tańczyła, chodziłam ulicami, przy których mieszkała. Do

Wenecji przyciągnął mnie Diaghilev, na wyspę San Michele, gdzie jest pochowany i na Lido gdzie zatrzymywał się podczas każdego pobytu w Wenecji.

JSG: Książka ukazała się już w Niemczech, będzie też polskie wydanie, Czy są plany dotarcia do innych krajów?

ES: „Bogini tańca” ukaże się we Włoszech, inne plany są jeszcze w trakcie negocjacji.



Ewa Stachniak przy rzeźbie przedstawiającej parę tancerzy –
rodzeństwo Wacława i Bronisławę Niżyńskich w balecie
„Popołudnie fauna”. Rzeźba stoi w Teatrze Wielkim w

Warszawie.



Pola Negri.

Kopciuszek z ulicy
Browarnej.



Pola Negri, 1920 r., fot. theredlist.com

Maciej Kaniewski

- Powróżyc? - stara pomarszczona Cyganka zachęcająco

wyciągnęła rękę.

- A, co mi tam - rezolutnie roześmiała się młoda dziewczynka. - Ale ja mam tylko złotówkę! - ostrzegła.

- Wystarczy! Niech panienka pokaże lewą dłoń.

Długo, z uwagą ciągnęła pomarszczonym palcem po liniach papilarnych.

- Czeka cię wielka przyszłość - powiedziała. - Będziesz miała bogactwo i cały świat u swoich stóp. Otoczona będziesz tłumem wielbicieli i fałszywych przyjaciół. Mężczyźni będą za tobą szaleć. Raz tylko zaznasz prawdziwego szczęścia, ale ucieknie od ciebie tak niespodziewanie jak się pojawiło.

Tak pisała po latach Pola Negri w swych pamiętnikach.

Zadziwiające są losy tej kobiety. Jest żywym synonimem starego przysłowia: „W życiu wszystko zdarzyć się może”. Gdy przebiega się w myślach jej biografię, trudno jest nie dojść do wniosku, że o nic nigdy się nie starała. Wszystko co zaszło w jej życiu było zbiegiem okoliczności, ślepego trafu, przypadku, spotkania właściwych ludzi, we właściwym czasie na właściwym miejscu. To, na co inni harują całe życie - jej „spadało z nieba”, to o czym inni marzą w bezsenne noce - było jej „naturalnym udziałem”. To

co inni wypracowują latami – było jej zagwarantowanym przez los podarunkiem. Można by do niej przypasować jeszcze jedno staropolskie przysłowie: „W czepku urodzona”. Czy tak naprawdę?

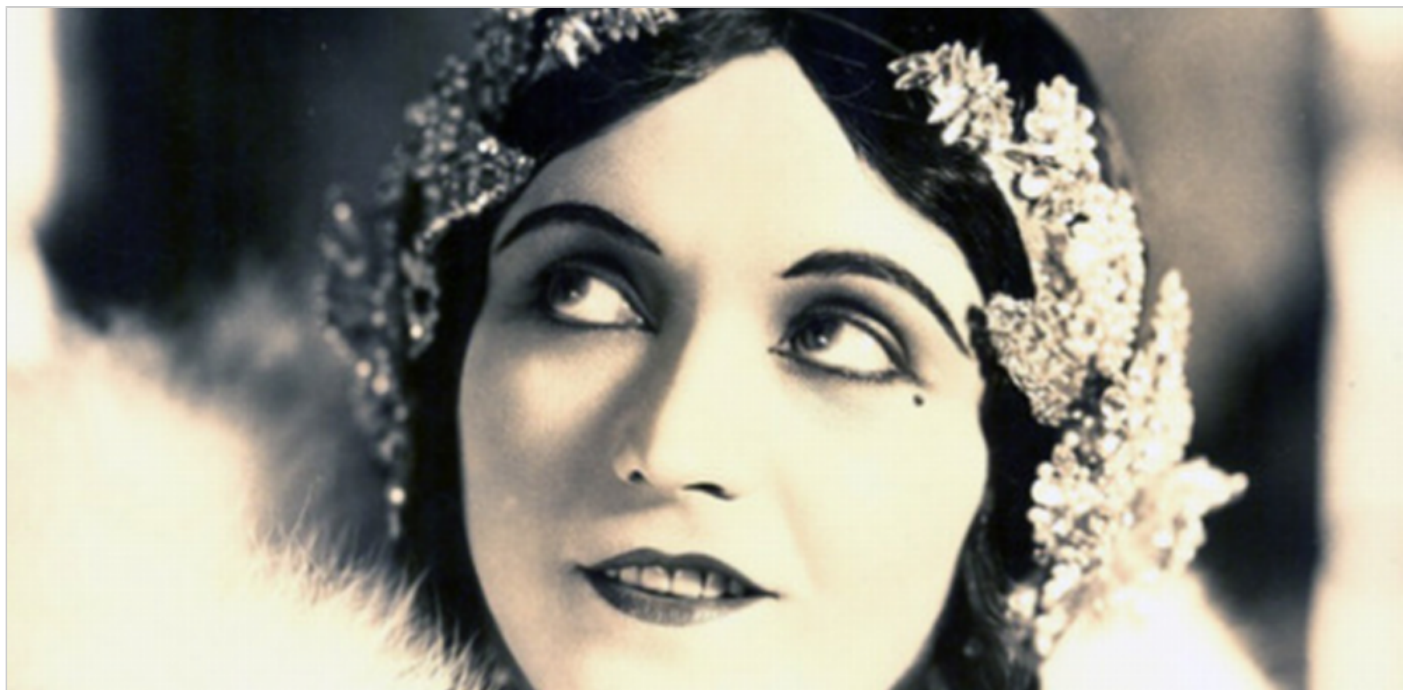
Apolonia Barbara Chałupiec urodziła się w 1897 roku w Lipnie pod Włocławkiem. Po aresztowaniu ojca przez carską Ochranę przeniosły się wraz z matką do Warszawy. Pola miała 5 lat. Zamieszkały w maleńkim, cuchnącym pokoiku na poddaszu domu przy ulicy Browarnej.

- Byłam młodziutkim łąbodziem przedzierającym się przez przepaść życia, ale gdy się ciągle żyje nad brzegiem przepaści przestaje się ją dostrzegać – pisała o tym okresie Pola Negri w swej autobiografii „Wspomnienia Gwiazdy”. Matka z trudnością znalazła pracę służącej. Biedowały. Z „brzydkiego kaczątka” wraz z wiekiem wyłaniać się zaczął obdarzony wrodzoną gracją ruchów i wdzięku – łąbodzi.

Któregoś dnia Pola przeprowadzała swe codzienne ćwiczenia gimnastyczne na trzepaku dywanowym. Traf (to słowo będziemy często w życiu Poli spotykać) chciał, że przechodziło tamtędy małżeństwo Kosińskich, właścicieli szkoły baletowej. Obojga zachwycił wdzięk i sposób poruszania się Poli. Dostrzegli talent. Nie domagali się chesnego. Pola trafiła do szkoły baletowej. Pierwszą rolę tańczyła w „Jeziorze Łabędzim”. Miała 13 lat. W

pierwszym rzędzie siedział Dyrektor Teatru Wielkiego Kazimierz Hulewicz. Staremu sybarycie skromniutkie łabędziałko natychmiast „wpadło w oko”. – Zrobię z ciebie gwiazdę, masz talent i indywidualność – powiedział bez ceregieli.

Z poddasza na Browarnej Hulewicz przeniósł swego łabędzia do miłego czystego mieszkania przy ulicy Bednarskiej. W krótkim czasie prasa warszawska zawrzała plotkami o miłości starego lubieżnika do 13 letniej baletnicy. Plotki nie były pozbawione podstaw. Stara jak świat prawda powiada: „coś zawsze za coś”. Hulewicz bardzo troszczył się o swego „łabędzia”. Kiedy Pola zapadła na gruźlicę zapewnił jej najlepszych lekarzy i sanatoria. Gruźlica przekreśliła karierę baletową. Lekarze kategorycznie zabronili tańca. Pozostał teatr. Pola była zbyt młoda by ją przyjęto w poczet adeptów. Czy dla Dyrektora Teatru Wielkiego jest coś „nie do załatwienia” w dziedzinie teatralnej? Pola wstąpiła do Szkoły Aplikacyjnej przy Warszawskich Teatrach Rządowych. Tu kończyła się protekcja. Tu trzeba było nadrabiać doświadczenie o 4 lata starszych koleżanek.



Pola Negri, fot. kobiecosc.info

- To był demon pracowitości - wspominała po latach aktorka Seweryna Broniszówna. - W jeden rok przerobiła trzyletni kurs. Było w niej coś, co nas wszystkich wzruszało. Ów niekłamany zapał z jakim oddawała się pracy i pewna szczerść losów granych przez nią postaci scenicznych, które jakby dotykały ją osobiście.

1 września 1912 roku Pola mając zaledwie 15 lat zadebiutowała w roli Anieli w „Ślubach Panieńskich”.

- Była wiotka jak trzcina wiosenna, w bladej twarzy paliły się wielkie ciemnoniebieskie oczy - wspominał producent Stefan Krzywoszewski.

- Zwinność ruchów i świeżość młodego gibkiego ciała miały w sobie coś kociego, niesamowitego, wręcz diabolicznego - pisał reżyser Ryszard Ordyński.

- Jest ładna, ale nie ma dykcji i chrapliwy głos - przyganił krytycy.

W tym czasie rodziła się wielka „przełomowa epoka” - FILM!

Dla Hulewicza to był „drobiazg”. Pola zadebiutowała na srebrnym ekranie jako „Niewolnica zmysłów” 25 grudnia 1914 roku. Podobno sama napisała scenariusz, sama sfinansowała realizację. Dociekliwi badacze dopatrzyli się „magicznej pałeczki” Hulewicza. Po „Niewolnicy” nagrała kilka dramatów o powielanej bez przerwy fabule: kobiety - wampa, lubującej się w sadystycznym „niszczeniu mężczyzn”.

Trwała I Wojna Światowa. Hulewicz został ambasadorem w Rzymie. - Skończyła się protekcja - radował się tłumek „życzliwych”. - Tylko głupiec przy Chałupiec - dodawano drwiąco. Pola zaczęła występować w modnych wówczas „Żywych obrazach”. Jeden z nich stał się kamieniem węgielnym jej fenomenalnej kariery. W „Kurierze Warszawskim” w kwietniu (?) 1915 roku ukazało się ogłoszenie: „Dla najnowszej kreacji w obrazie <Gwiazda Betlejemska>, Pola Negri potrzebuje 2 żywych węży. Kto takowe posiada zechce zawiadomić pod

adresem Senatorska 6”.

Już sama idea takiego ogłoszenia jest arcydziełem super-marketingu. Wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Sala była wyprzedana na parę tygodni naprzód. Pola „rosła w cenę”. O Polę zaczęto staczać bitwy. Nazwisko Negri zapewniało pełną widownię. Natychmiast „przypomniął” sobie o jej istnieniu świat filmowy. Zagrała w 8 filmach.

- To była absolutna ironia losu - pisała Pola. - Ja, która nie zabiłabym muchy grałam role demonicznych kobiet, o perwersyjnych charakterach, będących synonimem zła i grzechu.



Pola Negri, 1920 r., fot. theredlist.com

Partnerami Poli było wielu wybitnych polskich aktorów w tym: Józef Węgrzyn, Junosza Stępowski i Władysław Grabski. Polę zauważyła również alfa i omega światowego filmu, wytwórnia

niemiecka UFA. (Hollywood nie był jeszcze Hollywoodem). UFA podpisała z Polą stały kontrakt. (To też był swego rodzaju ewenement, na ogół kontrakty podpisywano „od filmu do filmu”. Partnerami Poli byli najwybitniejsi aktorzy niemieccy. Okazyjnie grywała w prestiżowym „Deutsches Theater”. Kosmopolityczny Berlin mimo wojny tętnił życiem wbrew wielkiej polityce i upadku cesarstwa. Szokowała berlińczyków przechadzając się po Unter den Linden z lampartem uwiązany na smyczy. Szybko stała się gwiazdą europejskiego formatu. Wojna zakończyła się hańbiącym Niemcy traktatem wersalskim. W Niemczech wrzało. Zapowiadała się rewolucja. Szalała inflacja. Pola miała zmysł ekonomiczny. Skupowała rodowe klejnoty Hohenzollernów. Wielki świat aktorski ubóstwa nie odczuwał. – Szampan był naszym napojem, śmiech naszą filozofią – pisała po latach.

Mniej więcej w tym czasie wydarzył się incydent, który omal tragicznie nie zakończył jej kariery. Kiedy po raz piętnasty odrzuciła oświadczyzny oszalałego z miłości fabrykanta Willy Seiferta, ten po kryjomu wślizgnął się nocą do jej pałacyku w dzielnicy Tiergarten. Kiedy Pola wyszła w koszuli nocnej z łazienki amant ponowił propozycję. Rozwścieczona Negri kazała mu się natychmiast wynosić. Seifert wyciągnął rewolwer i dwukrotnie strzelił. „Boskim” instynktem Pola padła za otomanę. To uratowało jej życie. Seiferta rodzina przemocą umieściła „na kuracji w Baden-Baden”.

W Niemczech nagrała 23 filmy. Każda wielka gwiazda filmowa lub sceniczna ma rolę, która ją unieśmiertelnia w oczach wielbicieli. Dla Poli była to „Madame du Barry”, film nakręcony w 1919 roku, który krytyka uznała za przełom w sztuce filmowej. W 1920 roku „Madame du Barry” przyniosła w Europie większe zyski niż wszystkie inne filmy razem wzięte. W tym czasie Hollywood rozpoczął trwającą do dziś blokadę filmów zagranicznych. „Madame du Barry” wbrew sprzeciwom magnatów z Hollywood wpuszczono na ekrany. W Nowym Jorku w ciągu tygodnia, film obejrzało 100 tys. widzów. Padł rekord „kasowy” – 10 tys. dolarów dziennie. Policja musiała interweniować pod kinami.

- Co ci się najbardziej podobało w Europie? - zapytano powracającego z podróży Chaplina. - Pola Negri - odparł bez namysłu król komików.

W 1920 roku Pola odwiedziła Polskę. Przypadkowo znalazła się na peronie dworca kolejowego w Sosnowcu. Następny pociąg do Berlina odchodził za 2 godziny.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - zapytał młody porucznik, Eugeniusz hrabia Dąbski. Spędzili razem 2 godziny. Porucznik oświadczył się listownie. Oświadczyzny zostały entuzjastycznie przyjęte. Zamieszkali razem w Sosnowcu. To nie był świat Poli. Po pół roku rozstali się w zgodzie.

W Niemczech panował polityczny chaos. Słaba Republika Weimarska nie zapowiadała zmian na lepsze. Pola wyjechała do Nowego Jorku. 23 stycznia 1923 roku na redzie witał ją rozentuzjasmowany tłum wielbicieli. Orkiestra grała Mazurka Dąbrowskiego. Limuzynę Poli eskortowała kawalkada policyjna na syrenach. Prasa amerykańska popadła w histerię. Pisano, że Miss Negri wychowała się pośród syberyjskich niedźwiedzi, że tańczyła nago przed carem, jej matka była zubożałą księżną, a ojciec cygańskim skrzypkiem.

W Chicago Pola złożyła wieniec pod pomnikiem Kościuszki. W mowie powitalnej w Domu Polskim powiedziała wprost: „Nie przybyłam tu dla majątku. Nie szukam chwały. Pragnę choćby skromną cegiełką przyłożyć się do sławy naszej odrodzonej, ukochanej Ojczyzny”. Polonia okrzyknęła ją „drugą Modrzejewską”. W Hollywood Pola pojawiła się w czasie, gdy wytwórnie filmowe stworzyły „maszynkę do filmowania” – co tydzień nowy film. Pola odbiegała od stereotypów „bananowych” gwiazd filmowych typu Gloria Swanson. Nie była „cukierkowa”, gładko uczesana, udająca zalotnego kociaka z upozowanym scenicznym uśmiechem na przesadnie uszminkowanych wargach. Była naturalna – to zafascynowało widzów. Tego z kolei nie mogła znieść Gloria Swanson, „królowa” Paramountu, specjalizująca się w rolach kobiet zaborczych i wszechwładnych.

Rozpoczęła się słynna „kocia wojna”. Pola była zabobonna,

chronicznie nie znosiła kotów. Swanson miała całą „kociarnię”. Jej garderobiane czekały na Polę z kotami ukrytymi w koszykach. W odpowiednim momencie wypuszczały koty pod nogi aktorki. Zabobonna Pola z krzykiem, natychmiast uciekała do domu. Szefowie Paramountu pękali ze śmiechu. Do czasu. Wojnę zakończono na rozkaz. Przeszkadzała w produkcji.

W latach 1923-28 Pola zarobiła 6 milionów dolarów, kolosalny majątek w tamtych czasach. W historię Hollywood Pola wpisała się filmem „Zakazany Raj” - ukazującym losy Katarzyny Wielkiej. To uderzyło w strunę amerykańskich sufrażystek. Krytyka uznała „Zakazany Raj” za czołowy film 1925 roku.



Pola Negri i Charlie Chaplin 1922 r., fot.
chaplinfortheages.tumblr.com

W 1923 roku Pola miała wypadek samochodowy. Zderzyła się z limuzyną Chaplina. Jeszcze tej samej nocy Chaplin wysłał pod jej dom orkiestrę Hawajską. Błyskawicznie stali się najślawniejszą parą Ameryki. „Król komików” nie miał łatwego charakteru. Był

potwornie zazdrosny, robił brutalne, chamskie wręcz awantury. Potrafił ją nazwać dziwką portową, a w następnej chwili błagać o małżeństwo.

- Chaplin miał usposobienie niezwykle depresyjne. Zamykał się całymi dniami w pokoju i wpatrywał się w swoje buty - wspominała Pola. - Wiele pisano o naszym związku, najgorsze jest to, że większość pisał sam Chaplin, bardzo często mijając się z prawdą. Żył w świecie własnej fantazji. To nie mogło trwać długo. Po krótkim czasie miałam go po dziurki w nosie.

Mimo, że w swej mowie w Domu Polskim Pola oświadczyła, że „nie pragnie majątku” - bardzo szybko złapała „amerykańskiego bakcyła”, który wraz z miłością do mamony niesie również snobizm. Kupiła pałac w Normandii. W jej garderobie wisiało 30 futer, sto sukien, tyleż strojów wieczorowych, niezliczone pary butów i przeróżnych akcesoriów. Jej „gotownia” przypominała świetnie zaopatrzony sklep kosmetyczny.

- Legenda zobowiązuje - mawiała Pola - kobieta nie powinna ukrywać swej piękności do tego stopnia żeby utracić ludzki wygląd.

Do tego „wyglądu” pomagać jej miały 4 limuzyny zaparkowane w garażu i 30 osób służby plus pięć sekretarek. Howard Greer dziennikarz z pisma „Town&Country” towarzyszył jej kiedyś w

podróży do Londynu. W hotelu „Claridge” wynajęła całe skrzydło. – Szła korytarzem – wspomina Greer – za nią ja, jej pokojówka, sekretarka, czterech ochroniarzy i 7 pikolaków z walizami. – Potrzebuję jeszcze więcej pokoi na kwiaty – powiedziała managerowi. Trzeba opróżnić sąsiedni apartament. Powiedźcie lokatorom KTO przyjechał. Niech się wynoszą.

Zaczęła zrażać sobie publiczność. Dziwna to była osobowość. Całkowicie odbiegająca od rozwiązłego świata Hollywood. Prowadziła się przyzwoicie. Lubiła swój dom. Grała Chopina. Śpiewała pieśni Moniuszki. Nie chodziła na bale, rauty, przyjęcia.

– Mówią, że zadzierasz nosa – przestrzegł ją jeden z przyjaciół. – Uważaj. Wypadniesz z gry!



Pola Negri i Rudolf Valentino, fot.
goldensilents.com

Przyjęła zaproszenie na jeden z niezliczonych bali maskowych. Brylował tam Rudolf Valentino – idol i bożyszcze kobiet. – Może

udamy zakochanych? – zaproponował. I zakochali się na umór.

– Nasza miłość zrodziła się w piękną noc balową, przy dźwiękach leniwie zmysłowego tanga i smutnie uśmiechniętego bluesa – wspominała Pola po latach. – On nie dla ciebie – przestrzegali ją przyjaciele, matka, koledzy. – To zwykły, cwany, wyrafinowany babiarz. Będzie cię zdradzał przy każdej możliwości.

– „Eta nastajaszczaja swołocz” – wołał Fiodor Szalapin. – „Ubiju kak sobaku”!

Miłość jest ślepa i głucha. Pola przeżywała ją po raz pierwszy. Łapczywie, gwałtownie, aż do bólu, jakby chciała nadrobić stracony czas. Dostrzegała wady swego ukochanego i „nie chciała ich widzieć”.

– Posiadał umysł wyrafinowanego Włocha – pisała o nim. – Głęboki smutek w jego oczach przemawia raczej do uczuć macierzyńskich niż zmysłowych. – Rudolfo naturalnie zdradzał ją na prawo i lewo. Pola cierpiała. Starła się o tym nie myśleć. 23 sierpnia 1926 roku powiadomiono ją telefonicznie o śmierci ukochanego. Zemdląca. Nigdy się z tego ciosu nie podniosła.

W Ameryce rozpętał się szal żałoby. Kilkanaście fanek popełniło samobójstwo. Zawiązało się „Towarzystwo Wdów po Valentino”. Setki tysięcy przywdziało żałobę. Kościół otaczał poczwórny

kordon policji. Szalejący tłum siłą próbował wdrzeć się do środka. Przy trumnie Pola dostała ataku histerycznego.

- Coś się we mnie wtedy wypaliło - pisała. - Żyłam obok życia.

W rok później poznała księcia Sergiusza Mdivani. Wyszła za niego za mąż. Miała trzydzieści lat. Frekwencja na jej filmach zaczęła spadać. Zaczęto poważnie podważać ideę jej miłości do Rudolfa.

- Taka miłość nie może kończyć się małżeństwem z kimś innym. I to po roku - mówiono

Ameryka chciała mieć „wdowę po Valentino”, tymczasem „główna wdowa” była już mężatką. Ameryka nigdy jej tego nie wybaczyła.

Pola nade wszystko pragnęła macierzyństwa. W 1928 roku przeniosła się wraz z mężem do Normandii. Była w piątym miesiącu ciąży. Poroniła w czasie przechadzki w parku. Księżę Sergiusz okazał się egoistycznym utracjuszem, przepuszczającym milionowy majątek Poli. Pola, którą Francuzi określali „La femme de tete” (kobieta z głową) - bardzo szybko położyła temu kres. Skończyło się szybkim rozwodem. W kronikach towarzyskich pojawiły się dwie sprzeczne informacje: jedna, że „pan Negri” (tak uszczypliwie tytułowano księcia pana)

- kategorycznie zabronił żonie powrotu na ekran, druga, że Pola wraca na scenę bo myśli o filmie dźwiękowym.

A sytuacja Poli nie przedstawiała się różowo. Nie miała po co wracać do Hollywood. Na „wdowę po Rudolfie” nie czekały żadne kontrakty. Krach na giełdzie dobił Polę finansowo. W okna zastukało ubóstwo. I wtedy na pomoc Poli Negri ruszyła III Rzesza. Właśnie opuściła Niemcy Marlena Dietrich. UFA na gwałt potrzebowała nowej gwiazdy. Hitler uwielbiał Polę jeszcze z czasów przedkanclerskich.



Pola Negri w filmie „A Woman of the World” (1925 r.), fot.
goldensilents.com

Pola podpisała bajeczny kontrakt. W latach 1935-1938 nagrała 7 filmów. Naturalnie nie obyło się bez zgrzytów. Było tajemnicą Poliszynela, że każda ładna aktorka musiała przejść przez łóżko ministra propagandy. Dr Goebbels był bardzo wybredny. Pola ze wstrętem odrzuciła „dusery” kulawego amanta. Amant był mściwy. Oświadczył, że Pola jest Żydówką. To oznaczało koniec kariery. Hitler dostał ataku wściekłości. Minister, który bał się swego Wodza jak ognia zainterweniował „zum Befehl”! W berlińskich gazetach opublikowano oficjalny komunikat Kancelarii Rzeszy: „Pola Negri może oficjalnie występować w Niemczech. Dochodzenie wykazało, że jest Aryjką-Polką”. W 1935 roku Pola nagrała film „Mazurek” opowiadający o poświęceniu matki dla dziecka. Po raz pierwszy i ostatni wystąpiła jako platynowa blondynka – Aryjka. Był to najbardziej dochodowy film w historii III Rzeszy. Führer był oczarowany. Nocami słuchał Wagnera, o 3 nad ranem oglądał filmy. Przez cały rok 1935 dwa razy w tygodniu oglądał „Mazurkę”. Za każdym razem płakał ze wzruszenia. „Poczciwy, dobry Führer”.

Świat aktorski żył w Niemczech na wysokiej stopie, nie mniej zawsze pod cieniem katowskiego topora. Pola była nietykalna. Dr Goebbels nienawidził jej śmiertelnie i omijał z daleka. Naturalnie

ten przedziwny przywilej nie uszedł uwadze prasy zagranicznej. – Pola Negri żyje w zbytku w siedzibie Hitlera w Berchtesgaden. Może sobie owinąć Wodza wokół małego palca – napisał wychodzący w Paryżu tygodnik „Pour Vous”. Tygodnik niedwuznacznie sugerował związek seksualny z wszechwładnym Kanclerzem. Pola wytoczyła tygodnikowi proces i wygrała. Ślad jednak pozostał. Stygma kochanki Hitlera na długo przylgnęła do Negri. Po zajęciu Francji Pola uciekła do USA. Dr Goebbels miał „swoją godzinę”. Z fałszywym współczuciem potępiał niewdzięczność aktorki.

W Stanach, Negri powszechnie uważano za kochankę Hitlera. Wytwórnice nie chciały o niej słyszeć. Śpiewała w nocnych drugorzędnych lokalach. Ona! Tak niedawno jeszcze uwielbiana gwiazda całego świata! Przerażająca musi być gorycz takiej porażki. Tylko raz w 1943 roku udało jej się dostać rolę w filmie „Hi Diddle Diddle”. Mimo dość ciepłego przyjęcia dalsze propozycje nie nastąpiły. Publiczność nie mogła jej wybaczyć ani „wdowy” ani „Führera”. Na następną propozycję Pola czekała 20 lat.

Po wojnie ściągnęła matkę do USA. Sprzedała willę we Francji. Jako tako łątała koniec z końcem. Z pomocą przyszedł jak zwykle traf! Poznała multimilionerkę Margaret West. Została jej damą do towarzystwa. „Krążyły pogłoski, że nie tylko”. Po śmierci Margaret, Pola odziedziczyła cały jej majątek. W 1964 roku

zagrała ostatnią rolę w życiu, w filmie „The Moon-Spinners”. Film był całkowitą porażką. W 1973 roku Steven Spielberg zaproponował jej rolę w „Sugarland Express”. Odmówiła. – Zagrałam w 63 filmach. Wystarczy!

Pod koniec życia zamieszkała w uroczym teksańskim miasteczku San Antonio. Tu, w 1970 roku, dokończyła i opublikowała swe wspomnienia „Pamiętnik Gwiazdy”. Zmarła 1 sierpnia 1987 roku.



.....

Bibliografia:

Konrad Zarębski: Z Lipna do Hollywood, Przemysław Gulda: Ameryka kochała Polę Negri, Interia Pl: Encyklopedia, Wiem Encyklopedia: Pola Negri, Kulturalna Warszawa: Pola Negri, Gazeta Pl – forum: Trupa werbalnych akrobatów, Pola Negri: Pamiętniki gwiazdy.

<http://www.polanegri.com/>